

# SAMOTNOŚĆ

V Ogólnopolski Konkurs na Opowiadanie  
im. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego



**Kielce 2025**

redakcja: Marek Maciągowski

skład i projekt graficzny: Dariusz Ścisło

Copyright © by Ośrodek Myśli Patriotycznej i Obywatelskiej, Kielce  
2025

wydawca: Wzgórze Zamkowe, ul. Zamkowa 3, 25-009 Kielce

[www.zamkowa3.pl](http://www.zamkowa3.pl)

[www.ompio.pl](http://www.ompio.pl)

Kielce 2025

ISBN 978-83-975922-0-9

## SPIS TREŚCI

- Marek Maciągowski** Słowo wstępu 4
- Ewelina Obtulowicz** Listy bez adresu 7
- Mariola Dmitruk** Żurawie 11
- Joanna Ewa Goc** Chleb z marmoladą 19
- Kamila Hougardy** Szepty z ciemności 25
- Beata Kotańska** Kurs samotności dla początkujących 35
- Alicja Laszkiewicz** Nie oglądaj się 45
- Aneta Lejwoda-Zielińska** Zapomniany las 53
- Marcin Lewiński** Ostatnie piętro 63
- Zuzanna Elektra Nowakowska** Buty 69
- Mariusz Olejniczak** To stary dom 73
- Anna Oliynyk** Opowieść klucza 79
- Krzysztof Tomasz Rapcia** Ciupaga i łzy 87
- Maciej Różański** Nie deptać jaskółek 107
- Michalina Staszek** Śmierć, zegarek i kwiaty 105
- Gabriela Wrona** Niebo mieści się w plecaku 125
- Patrycja Zdziebłowska-Calandria** Rocznicza 125

# Słowo wstępu

Motyw samotności, obecny niemal w każdym opowiadaniu Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, stanowiący także temat przewodni konkursu, okazał się być znaczącym, wszechobecnym i nieusuwalnym elementem współczesnego życia. Niezależnie od czasu i miejsca samotność jest wszechogarniająca, dotyka jednakowo starych i młodych, bogatych i biednych, tych żyjących pełnią życia i tych, którym życia niewiele już zostało. Samotność może dotknąć każdego, niezależnie od okoliczności.

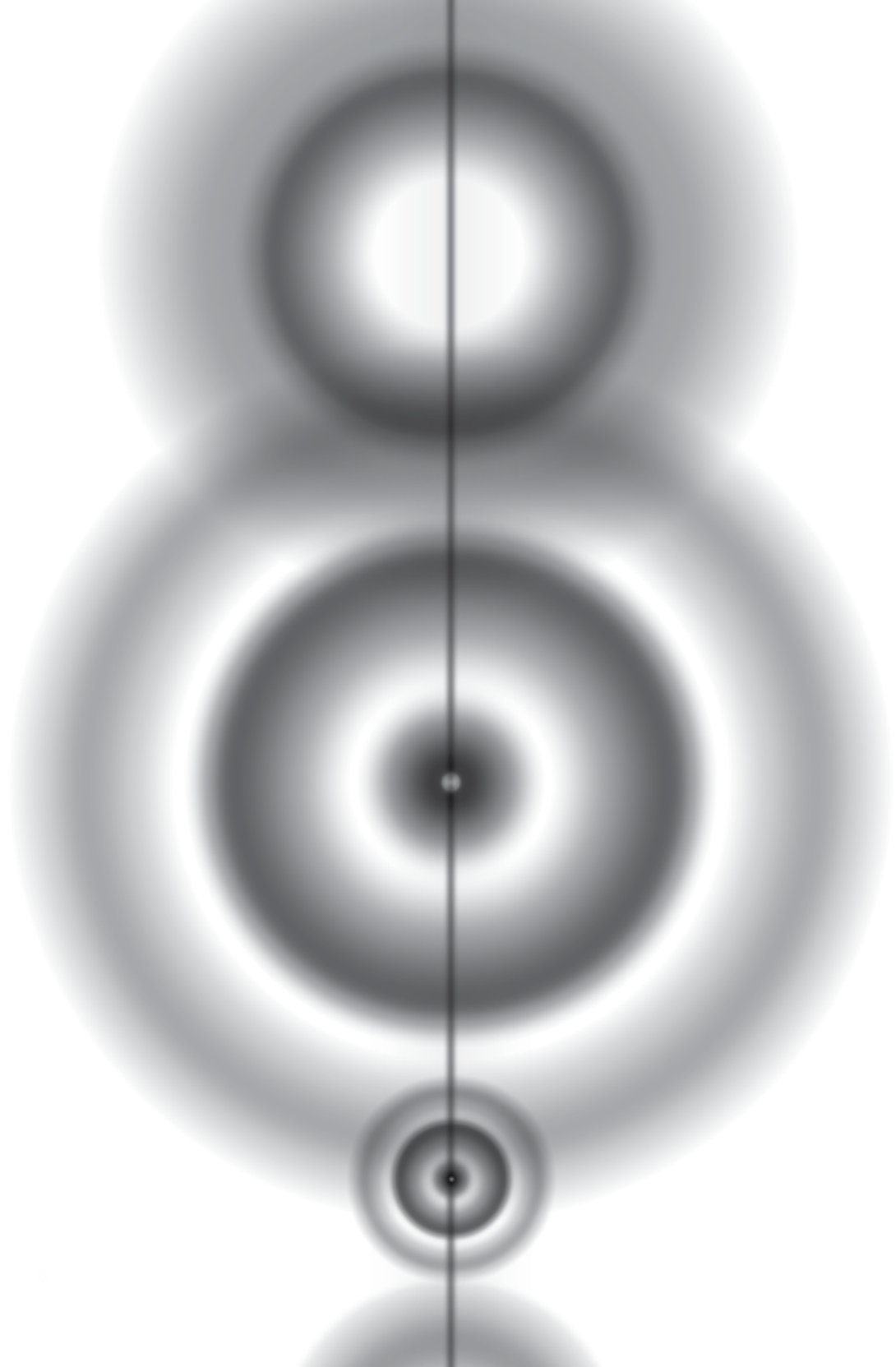
W V edycji Ogólnopolskiego Konkursu na Opowiadanie im. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego o nagrodę Wojewody Świętokrzyskiego zdecydowało się wziąć udział aż 621 twórców. Tak znacząca liczba nadesłanych na konkurs prac najdobitniej świadczy o tym, jak znaczący jest w dzisiejszym świecie problem samotności we wszystkich jej aspektach.

Konkursowe jury miało ogromną trudność z wyłonieniem najlepszych opowiadań. Wyboru otwierającego tom opowiadania – nagrodzonego główną nagrodą konkursu, dokonał dr hab. Alessandro Ajres, wykładowca języka polskiego na Uniwersytecie Turyńskim, który swoją pracę magisterską poświęcił Gustawowi Herlingowi Grudzińskiemu. W niniejszej publikacji, podobnie jak w poprzednich edycjach konkursu, znalazły się opowiadania wyróżnione przez jury.

Samotność nie jest problemem wygenerowanym przez sztuczną inteligencję. To wyobcowanie, które powoduje starość, bieda, choroba, czasem osobisty wybór, niemożność spotkania z drugim człowiekiem, fizyczna i psychiczna presja otoczenia, która prowadzi do poczucia

obcości, cierpienie, spowodowane brakiem odwagi by wyciągnąć rękę lub wypowiedzieć słowo, strach przed oceną, ujawnieniem własnych myśli i własnego osądu świata, izolacja i brak nadziei. Wszystko to przenika osobiste życie bohaterów nadesłanych na konkurs opowiadań, ale stanowi też lustrzane odbicie naszych dzisiejszych problemów.

*Marek Maciągowski*



**Ewelina Obtulowicz**

## **Listy bez adresu**

Był poranek równie bezbarwny jak dni poprzednie. Mgła, którą poranek przyniósł z doliny, wpełzała przez szczeliny okien, rozkładając się miękko na parapetach i książkach. Pokój – jedyny, jaki mu pozostał – pachniał kurzem i wycofaniem. Wśród cieni i nikłych śladów światła siedział mężczyzna, lat może sześćdziesiąt, z brodą nieco już przyprószoną siwizną. Nazywał się Feliks. Sam nie pamiętał, kiedy ostatni raz wypowiedział swoje imię na głos.

Zegar na ścianie tykał z uporem godnym lepszej sprawy, wybijając jednostajne rytmy, jakby chciał mu przypomnieć, że czas jeszcze istnieje. Feliks nie odpowiadał na jego zawołania. Od lat żył poza rytmem, poza dniem i nocą, chociaż codziennie budził się o tej samej porze – jakby jakiś wewnętrzny strażnik nie pozwalał mu zasnąć wobec własnego istnienia.

W oknie, przez które przed laty spoglądał z niepokojem na mijających go ludzi, teraz widział tylko puste pole, gdzie śnieg przykrył dawne ścieżki. Nie było nikogo. Samotność nie przyszła nagle. Nie miała twarzy ani głosu. Wpełzała jak mgła, cicho i niepostrzeżenie, aż pewnego dnia odkrył, że mówi do siebie.

Feliks nie był człowiekiem słabym. Przetrwał obóz. Widział, jak ludzie znikają – najpierw fizycznie, potem w jego pamięci. O samotności mówiono tam szeptem, bo była jak choroba: zaraźliwa, nieuleczalna. Tam nauczył się sztuki milczenia, a potem już nie umiał się jej oduczyć. Milczał, gdy wrócił. Milczał, gdy żona odchodziła, a dzieci przestawały pisać.

Nie było w tym buntu. Raczej akceptacja. Jakby uznał, że każde odejście było zasadne. Może wiedział, że nosi w sobie ciężar, który przygniata wszystko, co próbowało się zbliżyć.

Każdego dnia siadał przy stole, zaparzał herbatę, włączał radio, którego nikt już nie naprawiał. I trwał. Dni różniły się jedynie liczbą łyżeczek cukru.

Czasem pisał. Nie pamiętnik – nie miał złudzeń, że ktoś chciałby go czytać. Pisał listy. Do ludzi, których już nie było. Zawsze zaczynał od „Drogi Przyjacielu”, niezależnie od tego, czy pisał do matki, czy do współwięźnia z baraku numer osiem. W tych listach był inny. Uważny. Ciepły. Jakby chciał wyprosić swoje istnienie u nieobecnych.

Listy nie miały adresata. Chował je do pudełka po butach, które trzymał pod łóżkiem. Pewnego razu próbował je przeczytać – nie rozpoznał własnego pisma. Litery były zbyt równe, zbyt pewne, jakby pisał je ktoś inny. Zrozumiał wtedy, że samotność pisze za niego. On tylko trzyma długopis.

Zimą chodził rzadko. Śnieg skrzypiał zbyt głośno pod stopami i przypominał mu dźwięki, których wolał nie pamiętać. Ale pewnego dnia, gdy niebo miało barwę porzuconej stali, a drzewa wyglądały jak szkielety, wyszedł. Poszedł do sklepu, choć niczego nie potrzebował. Tam, wśród półek, spotkał starą kobietę. Miała siwe włosy splecione w ciasny warkocz i spojrzenie tak ostre, że przebiło jego zasieki.

Nie wymienili ani słowa. On kiwnęła głową. On odpowiedział ledwie widocznym uniesieniem brwi. Tyle. Ale wracając, zauważył, że śnieg nie skrzypi już tak donośnie.

Od tamtej pory chodził codziennie. Nie zawsze ją widywał, ale czekał. Dla tej jednej minuty obecności. Dla tego spojrzenia. Dla tej obietnicy, że nie jest sam na świecie, który dawno o nim zapomniał.

Wiosna przyszła późno. Śnieg zniknął nagle, jakby nie chciał się tłumaczyć ze swojej obecności. Feliks odnalazł w sobie coś na kształt ciekawości. Zaczął obserwować ptaki. Spisywał nazwy drzew. Kiedyś był botanikiem – to wróciło. Nie wszystko, ale wystarczająco, by zacząć

znów mówić. Do siebie. Do listów. Do kobiety, której wciąż nie znał imienia.

Nie próbował jej zaczepiać. Wystarczała obecność. Przypadkowe przecięcie dróg. Czasem spotykali się w parku – siadał na ławce, ona obok. Milczeli. Ale jego milczenie było inne niż dawniej. Już nie puste, lecz pełne.

Któregoś dnia przyniosła mu książkę. Nie powiedziała nic – tylko położyła ją obok. „Człowiek w poszukiwaniu sensu” – tytuł był znajomy. Kiedyś czytał ją w innym języku, innym życiu. Otworzył ją wieczorem. Na stronie tytułowej widniał dopisek: „Na samotność najlepsza jest obecność. Czasem wystarczy.”

Nie spał tej nocy. Myślał. Przypominał sobie ludzi, których znał. Twarze, które stracił. Głosy, które ucichły. I zrozumiał, że samotność nigdy nie była brakiem ludzi, lecz brakiem obecności. Brakiem tych kilku sekund spojrzenia, które mówi: „widzę cię”.

Nazajutrz napisał ostatni list. Nie do nikogo konkretnego. Po prostu: „Dziękuję. Za ciszę, w której mogłem się odnaleźć.”

Nie poszedł już do sklepu. Czekał. Tym razem to ona przyszła. Weszła bez słowa, jakby to było oczywiste. Usiadła naprzeciw. Między nimi stał kubek z herbatą. Długo patrzyli na siebie, zanim którykolwiek się odezwał.

– Feliks – powiedział cicho. – Helena – odpowiedziała.

Nic więcej nie trzeba było.

W pudełku po butach zostało kilkadziesiąt listów. Nie spalił ich. Nie schował. Po prostu zamknął wieko. Potem napisał nowy – pierwszy z imieniem.

„Droga Heleno, dzisiaj po raz pierwszy od lat przestałem czekać. Ty przyszłaś. I choć samotność wciąż siedzi w kącie, już się nie panoszy. Wiem, że można z nią żyć, jeśli ktoś inny milczy obok.”

Zegar nadal tykał. Ale teraz Feliks słyszał go inaczej. Jak bicie serca. Jak potwierdzenie, że czas nie tylko mija, ale także trwa – jeśli ma się z kim dzielić ciszę.



**Mariola Dmitruk**

# **Żurawie**

Samotność staje się najgłośniejsza wieczorną porą. Kiedy w pustym mieszkaniu zapada ta specyficzna cisza, niemająca nic wspólnego ze spokojem. Kiedy za oknem stopniowo się ściemnia i tylko od czasu do czasu przejeżdża pojedyncze auto przypominające, że świat nie zamarł. Kiedy muzyka przestaje grać w słuchawkach i gaśnie ekran telewizora wyświetlający jeden z ulubionych seriali. Samotność staje się najgłośniejsza, gdy odruchowo podnosisz telefon, żeby sprawdzić powiadomienia, choć nie ma już nikogo kto może do ciebie napisać. To uczucie podobne do lęku, gdy patrząc w sufit, całe twoje ciało przeszywa świadomość, że nikogo nie ma wokół. Nie wiesz, co ze sobą zrobić, ponieważ marzysz, by się do kogoś odezwać, natomiast te słowa milkną w tobie niewypowiedziane.

Ensam zasiedział się ze znajomymi w klubie przy jednej z głównych ulic. W powietrzu unosił się zapach alkoholu, potu oraz słonych przekąsek. Część osób bawiła się na parkiecie, inni przeglądali coś w swoich komórkach, podczas gdy on wyczekiwał dobrej okazji by wreszcie wrócić do domu. Za każdym razem ochoczo zgadzał się na wspólne wyjścia, żeby kilka godzin później żałować każdej podjętej decyzji. Wydawało mu się, że tak spędza się młodość. To filmy nauczyły go jak wygląda wzór szczęśliwego studenta, który próbuje jak najlepiej przeżyć swoje pierwsze lata dorosłości. Nawet nie był pewny, czy przemawiał do niego koncept głośnych imprez, mnóstwa znajomych, setek okazji, jakich nie miał prawa przepuścić obok nosa. Bał się jednak, iż będzie żałował jeśli nie pojawi się na którymś ze spotkań integracyjnych lub zebrań kolejnego z rzędu koła naukowego. Widział,

jak wszyscy dookoła gnają i nie wybaczyłby sobie, gdyby choć raz pozwoliłby sobie zostać w tyle.

Wyszli na zewnątrz dopiero po północy. Wiosna nie przywitała ich tak ciepło, jak by się tego spodziewali. Rzęsiste krople spadały mu ta twarz, a chłód oplatał ciało przykryte zaledwie jeansową kurtką. Pozostali odjechali taksówkami, niezdolni do powrotu o własnych nogach. Z kolei Ensam mieszkał dość blisko lokalu, więc postawił na krótki spacer, mający otrzeźwić jego umysł. Rzadko miał okazję przechadzać się tędy nocną, a coś niezwykle urokliwego kryło się w tych uśpionych uliczkach, ukrytych w mroku witrynach sklepów, pojedynczych latarniach, których światło odbijało się w powoli rosnących kałużach. Roztaczające się nad nim niebo także postanowiło uciąć sobie drzemkę i tylko jedna gwiazda połyskiwała, niczym niesforne dziecko wszechświata.

Mijał zamknięte restauracje oraz kawiarnie, wyglądające zupełnie inaczej, kiedy nie kręciły się wokół nich tłumy klientów. Wszystkie te miejsca zdawały się takie bezwartościowe, gdy nie tętniło w nich życie. Stawały się tylko kolorowymi ścianami, stolikami, krzesłami, których przeznaczenia nie dało się w pełni poznać, póki pośród nich nie pojawił się człowiek. Człowiek gotowy wnieść do nich swoje historie, uśmiechy lub troski wylane w towarzystwie kubka kawy. Mimo to, Ensam dostrzegał w tej pustce coś w sam raz dla niego.

Mijając jedną z knajp serwujących najlepsze meksykańskie jedzenie, dostrzegł małą, papierową figurkę, kryjącą się przed ulewą pod niezłożonym parasolem na tamtejszym ogródku. Błękitny ptak upadł przez nagły powiew wiatru, a chłopak odruchowo pochylił się, ażeby go podnieść. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego ktoś go tutaj zostawił, natomiast wyróżniał się na tyle, że nie był w stanie przejść wobec niego obojętnie. Schował znalezisko do kieszeni, gotowy wrzucić je do pudełka pamiątek, jakie trzymał pod biurkiem. Dla niego takie drobne przedmioty zbierały cenne wspomnienia. Wyjmując je po

kilku latach najczęściej wracał do myśli, które miał wówczas w głowie, do dźwięków, jakie wtedy słyszał, do odczuć cenniejszych niż obrazy.

Gdy wreszcie dotarł do swojego ciasnego pokoju, w jakim mieściło się zaledwie łóżko oraz dwie szafki na ubrania, opadł wykończony na materac. Przy żółtawym świetle lampki obracał między palcami znalezionego żurawia. W pewnej chwili spostrzegł, że na jego skrzydłach widnieją fragmenty słów. Zdumiony, powoli rozwinął origami, choć żał mu było tak ładnego tworzu. Sam także składał figury z papieru, więc postanowił przywrócić dzieło do poprzedniego stanu zaraz po przeczytaniu wiadomości.

"Pamiętam dni, gdy kochałem tu przychodzić. Pamiętam dni, kiedy wszystkie potrawy nie miały tego samego gorzkiego posmaku. Pamiętam wszystkie pozycje w menu oraz ludzi, których tu widywałem. Pamiętam kelnerkę, która знаła mój gust lepiej niż ja sam i zapach kojarzący się z rutyną. Chociaż z biegiem lat przestałem pojawiać się tutaj na obiadach, to wciąż wracam myślami do tego miejsca."

Ensam przeczytał tę notkę kilka razy, odrobinę nie rozumiejąc skąd potrzeba takiego wyznania w stosunku do restauracji, od jakich roilo się w mieście. Też ją uwielbiał i często przyprawdzał tam swoich starych oraz nowych znajomych, lecz w dalszym ciągu był to tylko nic nieznaczący punkt na mapie. Ponownie złożył żurawia, którego następnie wrzucił do czerwonego pudełka po butach.

Następnego ranka poszedł pobiegać do parku leżącego dwie przecznice od bloku, w którym mieszkał. Zmanipulowany przez media, usiłował doskonalić swoją codzienność, licząc na to, że ogólna recepta na szczęście, sprawdzi się także dla niego. Nienawidził aktywności fizycznej, aczkolwiek lubił muzykę dudniącą głośno w słuchawkach oraz przyjemny chłód kęsający jego policzki. Chociaż była to pora tylko dla niego, to nie mógł powstrzymać się od sprawdzania powiadomień w swoim telefonie oraz reagowania na dziesiątki informacji wysyłanych na grupowym czacie ze studiów. Przez wlepianie wzroku w wyświetlacz, omal nie wpadł na jedną z kamiennych figur, porozstawianych

wszędzie w pobliżu. Zatrzymał się przed wizerunkiem samotnego żurawia ze złożonymi skrzydłami. Nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi na tę rzeźbę. Zresztą, bardziej niż ona, zainteresował go przedmiot leżący tuż przy złotej tabliczce z nazwą oraz autorem dzieła. Jakim cudem ponownie wpadł na błękitne origami i kto był ich autorem? Chłopak rozejrzał się dookoła, przekonany że twórca wciąż chodzi po parku, skoro żuraw nie był doszczętnie przemoczony, a wiatr nie zdążył przenieść go wiele metrów dalej, pomiędzy źdźbła trawy. Zabrał go ze sobą i rozwinął, aby po raz kolejny przeczytać list do niezidentyfikowanego adresata.

"Dawniej była to nasza ulubiona ścieżka do wspólnych spacerów. Pewnej wiosny przyszedłem tu sam i tak już zostało. Nie ma dnia, abym się tu nie pojawiał. Coraz bardziej boli fakt, że niebo nie wygląda tak jak dwadzieścia lat temu, drzewa nie pamiętają już naszych rozmów, ani uśmiechów. Chyba tylko ja wciąż do nich wracam i tęsknię za nami z tamtego okresu."

Ensam poczuł, że nie powinien był zabierać figurki, gdyż ta mogła być przeznaczona dla jednej, wyjątkowej osoby. Jeśli jednak by ją tam pozostawił, najpewniej rozpadłaby się w ciągu kwadransa. Młody student próbował sobie wyobrazić, kim mógłby być autor tych wiadomości. Żadna z nich nie była oznaczona chociażby inicjałami tajemnego nieszczęśnika, który najwyraźniej nie miał nikogo, komu mógłby opowiedzieć o tym co czuje. Ciekawe, czy rzeczywiście liczył na to, że ktoś go w ten sposób wysłucha. Przechodnie, pogrążeni w pośpiechu, nie zwracali uwagi na detale. Rowerzysta jadący przed Ensamem musiał minąć żurawia, bez spojrzenia w jego kierunku. Kobieta spiesząca się na przystanek autobusowy pomyliłaby origami z ulotką niesioną przez wiatr. Zamyślona blondynka, wyprowadzająca psa podniosłaby figurkę i wyrzuciła do śmietnika, dbając o środowisko. Chłopak nie umiałby tego zrobić, bo niczyje emocje nie zasługiwały na zignorowanie.

Kolejny papierowy ptak wylądował w pudełku, zanim wyszedł na uczelnię. Pochłonięty przez obowiązki, nie miał okazji do przyglądania się otoczeniu i szukania kolejnych błękitnych żurawi. Zresztą wątpił, aby takowe mógł znaleźć w murach owego budynku. Opuścił go dopiero pod wieczór, zmęczony uśmiechaniem się od ucha do ucha, szukaniem wspólnego języka z ludźmi, którzy zajęci byli tylko własnym sukcesem, próbami podjęcia innych tematów niż nauka oraz szukaniem chwili na ucieczkę od pośpiechu, którego stał się ofiarą. Idąc na jeden z najbliższych przystanków, nie spodziewał się zastać tam kolejnej figurki. Wydawało mu się to podejrzane, jak często wpadał na nie w ciągu ostatniej doby. Ich nadawca musiał być niezwykle desperowany, poświęcając czas na roznoszenie ich wszędzie tam, gdzie nikt nie raczył poświęcić im należnej sekundy. Ensam złapał ją, nim zdążyła przeturlać się z drewnianej ławki do pobliskiej studzienki. Ileż miał z nim wspólnego, skoro ich drogi przecięły się już trzy razy podczas kilkudziesięciu godzin?

"Uwielbiam jeździć komunikacją miejską. Dzień w dzień obserwuję ludzi w autobusach, zarówno tych, którym się udało, jak i tych będących odbiciem mnie. Widzę starsze pary wracające z zakupów, grupki nastolatków, do jakich nigdy nie przynależałem, oczy wpatrzone w telefony, skupione na odpowiadaniu swoim znajomym. Ja wyjmuję komórkę tylko po to, żeby sprawdzić godzinę, bo każdy do kogo chciałbym napisać jest już na innym etapie. Tylko ja stoję w miejscu od lat i szczerze powiedziawszy, nie mam siły zrobić kroku w przyszłość."

Gdy podjechał właściwy numer, Ensam wsunął kartkę do kieszeni. Sam żył zbyt szybko, aby móc się zatrzymać i skupić na tych setkach bezwiednie mijanych twarzy. Sekundy, zdarzenia i ludzie uciekali mu tuż przed nosem, a on nie był w stanie nawet dogonić samego siebie. Pomimo zmęczenia, może to był ten lepszy scenariusz. Autor porównywał się do innych, bo wszędzie dostrzegał pozytywy, które sam gdzieś zgubił. Szukał ich w przypadkowych mieszkańcach,

zamiast w sobie i tym samym zatracił się w nieszczęściu, a nieszczęśliwy musiał być okrutnie zapisując te zdania.

Przez kolejnych kilka dni, dwudziestodwulatek nie znalazł żadnego nowego żurawia. Być może jego własne problemy pochłonęły go za bardzo, żeby dostrzegać też cudze rozterki lub ktoś inny zajął się zbieraniem niebieskich ptaków. Czasem wyjmował listy z pudełka, aby przeczytać je po raz kolejny i udowodnić sobie, że jest prawdziwym bogaczem, nie musząc się zmagać z równie przerażającym losem. Przecież otaczał się dziesiątkami polubień na mediach społecznościowych, niekiedy przytłaczającymi liczbami nowych powiadomień z komunikatorów i sam był tylko tutaj, w tym pokoju mieszczącym zaledwie jego ciało oraz ogrom myśli.

Z pewnością nie spodziewał się znaleźć figurki origami tuż nieopodal bloku, w którym mieszkał. Leżała pognieciona na tutejszym trawniku. Tusz długopisu rozmazał się w niektórych fragmentach, natomiast nie zniekształcił brzmienia zapisanych wersów. Ensam czuł się odrobinę nieswojo, wiedząc jak blisko niego jest twórca żurawi. Ciekawe, czy się znali? Mógł być to jeden z tych sąsiadów, z jakim nigdy nie miał sposobności porozmawiać, pracownik tutejszego sklepu, na którego nigdy nie zwracało się uwagi, starzec o zapadłych policzkach, spędzający dni na zwiedzaniu tego samego miasta, w którym spędził minione siedemdziesiąt lat. Student otaksował wzrokiem pobliskie dróżki oraz niedalekie okna, licząc na jakieś przełomowe odkrycie. W odległości wielu metrów nie widać było żadnej żywej duszy. Rozwinął list, czytając go tym razem uważniej niż dotychczas.

"Na pierwszy rzut oka nie odróżnisz mnie od najbardziej szarego człowieka na ulicy. Pewnie minę cię między innymi sylwetkami, jak duch. Budzę się każdego rana, niekiedy zapominając o swoim strachu. Dopada mnie w pracy, w metrze, w towarzystwie głośnych dźwięków, w galeriach handlowych, ale krzyczy na mnie dopiero, gdy zamykam drzwi na klucz i zapada ta pozorna cisza. Jest to strach, który mnie nie opuszcza, bo nie jest spowodowany żadnym bodźcem. Siedzi

przy mnie w barze, szepcze na spacerze, woła, gdy uciekam od niego do uśmiechów ludzi. Przekrzykuje ich i nie pozwala się wydostać na powierzchnię."

Ensamowi zadrżały dłonie. Kolejny raz wrzucił list do kieszeni, przemoczony i brudny. Sam zignorował emocje jakie w nim wzbudził. Zapowiadał się ciężki dzień, w którym nie miał siły, żeby taszczyć jeszcze czyjeś troski. Zdawał sobie sprawę, że ten ktoś wysłała w jego stronę prośby o pomoc, ale jak miał podnieść na duchu nieznanego?

Wykończony codziennymi aktywnościami, na jakie nie miał najmniejszej ochoty, sztucznymi uprzejmościami w stosunku do rówieśników niechętnych je odwzajemnić, nadmiarem informacji wpajanych w niego niczym najnowszy model komputera oraz znużony wizją podobnego jutra, wracał z zajęć na własnych stopach. Pomimo panującej szarugi, wołał to niż ścisk panujący w komunikacji miejskiej. Kompletnie zapomniał o błękitnych żurawiach, zanim nie natknął się na jeszcze jednego, ustawionego równo na pokrywie kontenera w pobliżu sklepu całodobowego. Jedyne takiego w tej dzielnicy. Korciło go, aby zostawić figurkę innemu przechodniowi, lecz kilka metrów dalej przystanął, po czym wrócił się po nią i rozłożył, aby sprawdzić zawartość.

*"Wiesz kiedy jest najgorzej? Kiedy nie tylko nie możesz liczyć na towarzystwo innych, ale stajesz się też obcy dla samego siebie. Rano w lustrze spotykasz kogoś, kim nigdy nie chciałeś się stać. Całe życie spędzasz na tym, by znaleźć kogoś do obdarzenia miłością, zapominając o kochaniu siebie. Wtedy oddalasz się od tego kim jesteś i kimkolwiek byłeś. Zdajesz sobie sprawę, że każdy umiera w samotności, ale czy naprawdę każdy umiera nawet bez poczucia własnej tożsamości?"*

*E. Lind"*

Jakim cudem dzielili nazwisko? Pewnie był to jeden z tych zbiegów okoliczności, który zostawiał gęsią skórkę na karku. Miał wreszcie okazję, aby wysledzić przedziwnego nadawcę listów. Idąc, przeglądał

profile na portalach społecznościowych, lecz posiadane informacje okazały się niewystarczające. Już piąta karta wylądowała w pudełku po butach.

Tamtej nocy zasnął szczególnie niespokojny. Był to sen niezwykle długi, nieprzynoszący wytchnienia. W majakach sennych doświadczał dorosłości w najbardziej surowym jej wydaniu, poznawał jej najmniej oczywiste wady, popełniał błędy, milczał, gdy powinien się odezwać i krzyczał, kiedy już nikt go nie słuchał. Specyficzny był to sen, bo ludzie, których dotąd kochał byli tak blisko, że ich odejście bolało tak, jak gdyby wydarzyło się naprawdę. Przechadzki w pojedynkę trwały w nieskończoność, a nogi stawały się coraz słabsze z każdym następnym marszem. Łzy moczyły jego policzki, zaś żurawie odlatywały na wieczną zimę. Obudził się w tym samym ciasnym łóżku, pod tą samą wykrochmaloną pościelą, lecz na ścianach nie wisały już plakaty ulubionych zespołów, ani plan zajęć ze studiów. We własnym odbiciu także nie znalazł dwudziestodwuletniego Ensama Linda. Tkwił tam starszy mężczyzna o smutnych oczach, z głębokimi bruzdami znaczącymi czoło. Szczupłymi palcami wyjął jedną ze swoich starych figurek origami i wsunął ją do czarnego płaszcza. To już ostatnia. Zostawi ją na pierwszym peronie dworca, zanim wsiądzie do pociągu, który wreszcie go stąd zabierze.

**Joanna Ewa Goc**

# **Chleb z marmoladą**

Krystyna niekiedy wspomina swoją młodość. Nie były to czasy szczególnie szczęśliwe z jakiegokolwiek powodu, ale bezwiednie wraca do nich myślami. To były spokojne lata, takie zwyczajne.

Po zawodówce trafiła do Zakładów Odzieżowych, gdzie pracowała najpierw jako krojca, a potem szwaczka. Prawie wszystkie dziewczyny z jej klasy tam pracowały. Praca niezbyt ciężka, ale monotonna. Podczas ośmiogodzinnej zmiany przysługiwały dwie przerwy, krótsza i dłuższa. Na dłuższej chodziło się do stołówki, rozpakowywało rogalia z masłem i białym serem i popijało kawą. Kawa była najczęściej zbożowa, ale zdarzała się też prawdziwa, sypana.

Wszystkie dziewczyny paliły wtedy jak smoki, najczęściej klubowe. Wychodziły przed budynek i stawały w kręgu wokół dwóch metalowych popielniczek. Rozmawiały, nie pamięta o czym, może o facetach. Potem ograniczyła palenie. Ze względu na oszczędności, a nie z rozsądku. Teraz znowu dużo pali, ale czasy są inne.

Wtedy poznała Andrzeja. Był strażnikiem na nocnej zmianie. Często stawali obok siebie niby przypadkiem, bez słowa, ogień jej podawał, jeszcze zanim poprosiła, aż w końcu odważył się i zaprosił ją na potańcówkę. Tak się wtedy mówiło: na potańcówkę. I już byli parą, tak po prostu. Ani się obejrzała, jak zaszła w ciążę. Postanowili się pobrać. Nie było w tym namiętności, raczej prosta rachuba.

Zamieszkali u matki Andrzeja, która bez prośzenia oddała im większy pokój. Dzielili z nią łazienkę i kuchnię. Ale złego słowa o teściowej nie może powiedzieć. Te opowieści o złych teściowych to musi być bujda. Tylko że szybko jej się zmarło, na serce. Może przy niej Andrzej byłby spokojniejszy.

Synek urodził się w ósmym miesiącu. Ledwie przeżył. I już pozostał słabowity, takie chuchro. Wymagał dużo uwagi, ciągała go po lekarzach, pomagała stawiać pierwsze koślawe literki, jeździć na rowerku. Andrzej miał mniej cierpliwości do syna, strofował go co chwila, czasem popchnął. Zwłaszcza jak Krystyny nie było w pobliżu. Raz pobił go tak, że z ucha pociekła mu krew i obojczyk mu złamał. Mały leżał w przedpokoju skręcony jak krewetka i nie ruszał się. A ona tego dnia pracowała na popołudniową zmianę, to wróciła dopiero przed północą. Widziała krewetki w telewizji i tak jej się skojarzyło. Krystyna spakowała małego i siebie i po prostu wyszła z domu. Już nigdy do Andrzeja nie wróciła, choć dwa razy do niej dzwonił, że przeprasza.

Trochę pomieszkała u siostry, ale jej narzeczony też miał ciężką rękę do kobiet i dzieci. Siostra swoje dzieci musiała oddać, jedno po drugim. Krystyna nie chciała, żeby na jej synku się wyżywali, to szybko się stamtąd wyniosła.

Tułała się po domach samotnej matki, aż w końcu wychodziła w urządzenie małe mieszkanie z puli socjalnych. Klitka ze ślepą kuchnią. Łazienka wspólna, na półpiętrze, ale inni sąsiedzi porobili sobie łazienki w mieszkaniach i ta wspólna to właściwie tylko dla nich została. Tyle że bez centralnego. Znaczy, nie tylko łazienka bez ogrzewania, całe mieszkanie. Kozę musieli wstawić i zimą węgla nanosić z piwnicy. Ale dało się przedzielić pokój na pół, żeby mały miał miejsce do nauki. Tylko uczyć się nie chciał za bardzo, a Krystyna nie wiedziała, jak ma mu tłumaczyć. Nie umiała na niego krzyknąć. Wtedy już dużo piła i ciągała się z chłopami. Dobrze, że więcej bachorów mieć nie mogła. Bo czy umiałyby kogoś jeszcze pokochać? Ale nikogo do domu nie sprowadzała, żeby syn nie wiedział.

Wiedział i tak. W szkole śmiali się z niego. „Twoja stara się kurwi pod sklepem” – krzyczeli za nim. Podkulał ogon i jak skrzywdzone zwierzątko wracał do niej. Potem kiedyś jej wykrzyczał prosto w twarz. Pamięta, że przestała wtedy pić na pół roku. I już z żadnym chłopem się nie ciągała. Zresztą i stara się zrobiła jakoś szybko, nieładna.

Ale to były dobre czasy. Miała synka u siebie. Każdego ranka robiła mu kanapki. Z suchą krakowską albo rzadziej z mortadela. I jeszcze dwie z marmoladą, żeby miał i trochę słodczy w życiu, jak wróci ze szkoły. Jak prosił o telefon komórkowy, bo wszyscy koledzy mieli, to zawzięta się w sobie, żeby nie pić, wzięła nocne zmiany w odzieżówce i kupiła. Żeby synek miał. Jej synek. Tak do niego mówiła „Synku”. „Syneczku”. Po imieniu rzadko. A on do niej mówił „Mamusiu”. Nigdy inaczej, nawet przy kolegach.

Teraz, jak przegląda kartki z więzienia, które jej wysyła, to szuka tych słów na początku: „Kocham cię, Mamusiu”. Zawsze od wielkiej litery, z takim ładnym zawijaszem przy drugiej nóżce w „M”. Rozczuła się wtedy i wspomina swoją młodość, kiedy byli razem i byli szczęśliwi. Bo jego pismo zatrzymało się na poziomie trzeciej klasy szkoły podstawowej, takie okrągłe literki pod linijkę. Wszystkie listy są takie same. Tylko literki czasem rozmazane. „To od łez, Mamusiu” – tłumaczy jej. I tak wie, że od łez, bez tłumaczenia. Ona też płacze nad tymi listami.

Teraz znowu pije, ale jak ma mieć widzenie, to odstawia na tydzień wcześniej, żeby nie poczuł. Albo może dlatego, że ta godzina z synem jest zawsze taka cenna, że chce ją jak najbardziej świadomie doświadczyć, żeby weszła jej głęboko w pamięć i serce. Musi starczyć na miesiąc.

Już od dawna nie pracuje w odzieżówce, zamknęli. Nauczyła się szyć przez te lata, to bierze zlecenia do domu. Maszynę w leasing wzięła i spłaciła. Na maszynie potrafi wszystko. A najpierw sprytnie rozrysuje i wykroi. „Ma pani talent do szycia” – mówi klientki. Może i ma. Wszystkie płaszcze sama zawsze szyła, a sukienki to chyba nigdy w życiu nie kupiła. Nawet tej ślubnej. Tylko materiały się kradło z zakładów, takie końcówki, albo i całą belę, jak się dało. Teraz nie ma gdzie ukraść, trzeba kupić, to trudniej. Dawno już nie miała nowej sukienki. Ale po co miałyby się stroić? Jak synek wróci, to mu uszyje koszule. Ma już materiał, dwa nawet, butelkową zieleń i drugi jasno-niebieski. Synek ma oczy niebieskie, to będzie pasowało. Ale jeszcze

nie szyje, bo jak tu miarę z niego zdjąć? I chudnie z roku na rok coraz bardziej, to by zaraz za duże były.

Nauczyła się gołąbki robić i mu w termosie nosi, takim szerokim. Na zmianę placki ziemniaczane i gołąbki. I chleb z marmoladą, żeby pamiętał o dzieciństwie i o dobrych czasach. A chłopak i tak chudnie. Nie za wysoki jest, może pół głowy od niej wyższy, ale mizerny na twarzy i słaby w rękach. Wcale nie ma siły. W dokumentach ma zapisane, że waży pięćdziesiąt cztery kilo, ale to nieprawda. Mówi, że całe jedzenie mu zabierają. Pewnie nie umie walczyć o swoje, za spokojny.

Dopiero na drugi dzień po powrocie od synka z widzenia zaczyna pić. Ale nie tak za dużo, żeby pieniędzy starczyło na paczki dla niego. Zawsze mu paczki przynosi, żeby nie wiem co. Zawsze.

Czasem myśli, że niechby się już przyznał. Może by go wypuścili na przepustkę. Tak jej prokurator kiedyś tłumaczył. Że jak się przyzna, to będzie mógł na przepustki chodzić. A jak nie, to nie. Ani wcześniej go nie wypuszczą. A tu już więcej niż połowa wyroku minęła, to może by puścili. A on się zawziął. „Mamusi, ja tego nie zrobiłem.” I beczy. Krystyna mu wierzy, bo jak synkowi swojemu nie wierzyć, kiedy płacze. To mu te gołąbki nosi. I listy układa w kredensie.

Najpierw to się wstydziła chodzić po zakupy do sklepu na osiedlu. Nasłuchiwała się od ludzi: „Jak go wychowałaś, szmato”. Od kurew ją wyzywali. Że matka mordercy. Sklepową też, podawała jej towar z taką miną, jakby to sama Krystyna kogoś zamordowała. To jeździła po zakupy na drugi koniec miasta, zawsze w kapturze albo w okularach słonecznych, zanim zgubiła. Po kapustę na gołąbki i wołowinę. I po kawę dla niego. „Po co ci tyle tej kawy?” – dziwiła się. A on prosił o więcej i więcej. „W dzień nie wolno tu spać. A w nocy muszę czuwać.” Krzywdzili go, wiedziała. To już tę kawę mu przywoziła, nawet jak kryzys był i droga.

Dla siebie to nic nie kupowała, oprócz wódki.

Nie wie, jak przeżyła te lata. Chciała się zabić, dwa razy. Ale w ostatniej chwili myślała, że musi przecież do synka na widzenie jechać.

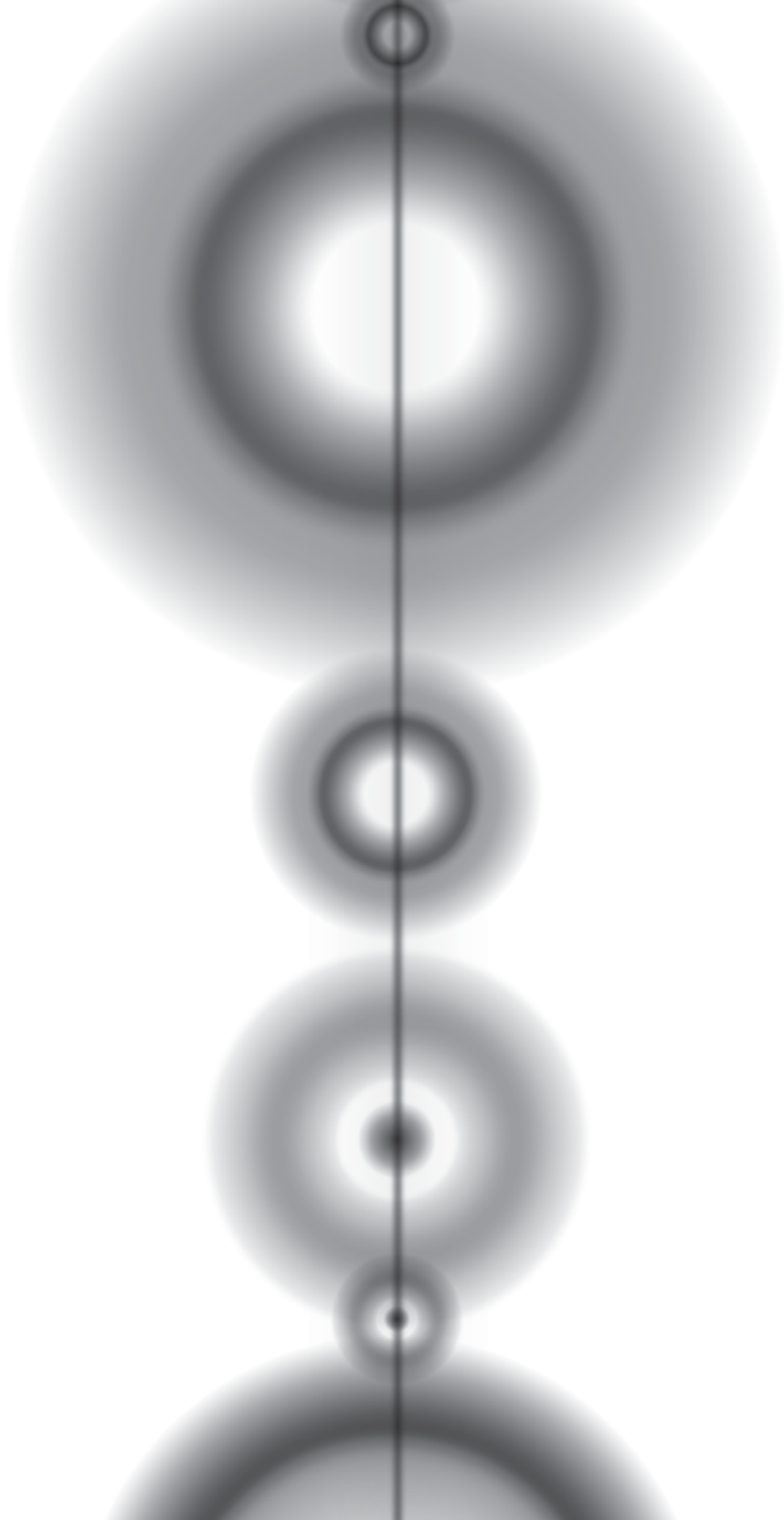
Bo kto do niego przyjedzie? I jeśli on się do tej pory nie powiesił, to może tak trzeba. Życ trzeba, znaczy się. Teraz już się nie wstydzi. Wszystko jej jedno. A ludzie się przyzwyczaili, sąsiedzi już nie plują jej na drzwi. Raz ktoś kupę zrobił na wycieracze, to posprzątała i tyle. Komu miałyby to zgłaszać i po co? Idzie się przyzwyczaić w końcu.

I przyzwyczaiła się do tego rytmu. Do samotności. Ale chciałyby mieć synka tu blisko. Robić mu kanapki z marmoladą. Kupowałyby mu różne rzeczy. Wzięłyby więcej zleceń, przestała pić. Bo pić nie musi, to tylko tak z tęsknoty.

Wieczorami ma swój rytuał. Wyciąga listy z komody i je ogląda. Nie czyta, bo je wszystkie ma przeczytane, tylko ogląda. Na wieczór oczy słabe od tego szycia, nie widzą. Tylko „Kochana Mamusiu”, bo większymi literami na górze strony wykaligrafowane. Ma powiązane sznurkiem w paczuszki, latami. Każdy rok osobno. Czternaście paczuszek. Uszyła woreczki z resztek materiału, na każdą paczuszkę inny kolor. Poprządywała kolorowe sznureczki, żeby łatwo było zawiązywać. Raz wyciąga jedną, raz inną. Płacze sobie. Wieczorami wolno popłakać dłużej.

Ona sama listów nie pisze, tylko jeździ do niego na widzenia. „Może by cię wypuścili, syneczku” – mówi. „Ja już stara jestem. A jak mi się zemrze? I nie doczekam?” On się wtedy uśmiecha. „List do ciebie napisałem, zobacz.”

Wkłada list do torebki. Torebkę na kolanach zawsze trzyma, taką czarną, ze sztucznej skóry. Tę samą przez te wszystkie lata.



**Kamila Hougardy**

# **Szepty z ciemności**

## **Część I – Okruchy światła na dnie pamięci**

Miałem kiedyś zwyczaj zapisywać swoje myśli na marginesach książek. Nie był to gest buntu wobec litery druku, raczej potrzeba rozmowy – cichego dialogu z autorem, który, choć nieobecny ciałem, żył na kartkach, cierpiał w zdaniach, oddychał w przerwach między akapitami. Dziś już nie piszę. Dłoń jakby zeszywniała w odruchu milczenia. Pozostaje mi tylko słuchać – własnych myśli, które tłoczą się w głowie jak nieproszeni goście, oraz ciszy, która z każdą godziną staje się głośniejsza, bardziej dominująca, natarczywa. Mieszkam samotnie. Nie z wyboru, lecz z uporu losu, który tak jak wiatr nad pustkowiec przesiewa ludzi z mojego życia – jednych porywając bezpowrotnie, innych oddalając na tyle, by stali się jedynie bladym wspomnieniem. To nie jest samotność romantyczna, utkana z melancholijnych wieczorów i niedopowiedzianych spojrzeń. To samotność egzystencjalna, zasadnicza, przypominająca, że człowiek ostatecznie rodzi się i umiera sam, bez względu na to, ilu ludzi mijają jego dni. Czasem, o zmierzchu, siadam przy starym oknie, które od dziesięcioleci stawia opór porom roku. Spoglądam w podwórze, którego każdy kamień zna mój ciężar, i widzę chłopca – nie więcej niż dziesięcioletniego – wbiegającego z plecakiem na ramieniu, podskakującego, żywego, z włosami rozwianymi przez wiatr dzieciństwa. Ten chłopiec to ja, sprzed lat, może sprzed całego wieku. Nie wiem, czy naprawdę tam biegnie, czy to jedynie moja pamięć rozszczelnia się pod naporem wieczorów. Ale wiem, że patrząc na niego, czuję coś więcej niż tęsknotę. Czuję stratę.

Bo samotność nie zaczyna się od fizycznej nieobecności drugiego człowieka. Zaczyna się wtedy, gdy przestajemy być obecni dla samych siebie.

## **Część II – Cień, który przysiadł w progu**

Nie pamiętam dnia, w którym zacząłem się starzeć. Pamiętam za to pierwszy raz, kiedy poczułem się opuszczony. Było to lato, w którym zmarł mój ojciec. Miałem wtedy szesnaście lat i wydawało mi się, że jestem już mężczyzną, choć moje gesty jeszcze nie znały ciężaru odpowiedzialności, a słowa nie umiały nosić milczenia. Jego śmierć nie była nagła. Odchodził przez miesiące, jakby uczył mnie samotności w odcinkach – dniach rozciągniętych między nadzieją a nieuchronnością. W jego ostatnich tygodniach często siedziałem przy jego łóżku. Nie mówił wiele, jego milczenie miało w sobie wagę tomów. Gdy zamykał oczy, a oddech przyspieszał, siadałem bliżej. Wydawało mi się, że jeśli będę wystarczająco blisko, jeśli będę trwał przy nim bez słów, może ocaleje. Może z litości dla mojego uporu – umrze później. Nie z miłości, nie z czułości. Z litości właśnie. Jednak śmierć nie zna takich kompromisów. Po jego odejściu dom się zmienił. Matka stała się cichsza, jakby głos w niej się stłumił. Ja zaś... ja zacząłem pisać. Nie poezję, nie prozę. Pisałem listy do ojca. Codziennie. Przez trzy lata. Trzymałem je w pudełku po jego butach. Pisałem, co jadłem na śniadanie, kogo spotkałem, czego się boję. Pisałem z uporem człowieka, który wie, że jego głos niknie w pustce, ale nie przestaje mówić, bo tylko mówienie utrzymuje go przy życiu. Z tamtego czasu pozostał mi jeden list – ostatni. Resztę spaliłem pewnego zimowego wieczoru, mając dwadzieścia dwa lata, i myśląc, że oto żegnaj się z przeszłością. Nie wiedziałem wtedy, jak bardzo się myliłem. Przeszłość nie zna pożegnań. Przeszłość zamieszkuje nas — jak echo w pustym domu.

### **Część III – Echo imienia, które milczy**

Czasem zdarza się, że cisza przerywana jest głosem, którego nie powinno już być. W moim przypadku – jej głosem. W snach, ale i na jawie, w krótkim półśnie popołudniowym, słyszę, jak wypowiada moje imię. Zawsze tak samo: spokojnie, beznamiętnie, z lekkim westchnieniem, jakby imię moje nie było już przyzywaniem, lecz tylko wspomnieniem. Nazywała się Helena. Choć dziś wydaje mi się, że nosiła inne imię, starsze, głębsze, takie, którego nie sposób wymówić bez drżenia serca. Poznałem ją w czasie, który z perspektywy lat wydaje się złudzeniem – krótkim, świetlistym epizodem, jak słoneczny promień, który zabłąkał się przez zakurzone okno. Byliśmy młodzi, ale nie naiwni. Nasza miłość była cicha, skupiona, jakbyśmy bali się, że zbyt głośne uczucia mogą zbudzić los, który śpi niechętnie i łatwo się mści. Helena była inna niż wszystkie kobiety, które spotkałem później. Nie dlatego, że była piękniejsza. Ale dlatego, że była bardziej obecna. Miała w sobie tę rzadką zdolność trwania – bez potrzeby dominowania, komentowania, zmieniania czegokolwiek. W jej obecności milczenie stawało się czymś naturalnym, jak oddychanie. A ja, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy, nauczyłem się wtedy słuchać – nie tylko jej, ale samego siebie. Odeszła. Nie nagle. Znowu – jak ojciec. Ludzie, których kochałem najbardziej, zawsze odchodzili powoli, jakby z rozmysłem, zostawiając mi czas na wewnętrzne rozkładanie rąk, a nie na bunt. Helena wyjechała – do innego miasta, do innego życia. Nigdy się nie żegnaliśmy naprawdę. Powiedziała tylko: „Wiesz, że muszę.” A ja, naiwnie, pokiwałem głową. Potem były lata. Praca, obowiązki, twarze. Przechodnie w korytarzach mojego życia. Ale nic, co przyszło później, nie miało tej gęstości bycia, którą miała Helena. Może dlatego tak często wraca w moich myślach – nie jako kobieta, którą znałem, lecz jako symbol: wszystko, co utracone, zanim człowiek zdążył zrozumieć, co posiada. Czy można być samotnym wśród ludzi? Tak. Najpełniej właśnie

wtedy. Bo samotność nie polega na braku obecności. Polega na braku obecności właściwej. Ilekroć spoglądam przez okno, w to samo podwórze, gdzie biegał mój cień z przeszłości, czuję, że Helena stoi gdzieś obok – może na granicy wspomnienia i snu. Ale nigdy nie podchodzi bliżej.

## **Część IV – Rachunek z istnieniem**

Istnieje szczególny rodzaj ciszy, który rodzi się nie z braku słów, lecz z ich nadmiaru – z przesyty tym, co już zostało wypowiedziane, a nie przyniosło ulgi. Taka cisza towarzyszy mi każdego ranka, gdy siadam do śniadania, które od lat składa się z tych samych gestów: chleb, kawa, gazeta, której nie czytam. Nie dla informacji ją przynoszę. Jest dla mnie jak stare zdjęcie – przypomina o rytuale, a nie o treści. Rytuały... To wszystko, co mi zostało. Małe, uparte akty podtrzymywania pozorów, że świat ma wciąż jakąś strukturę. Że życie nie rozpadło się jeszcze w bezkształtną masę przypadków. Bez nich człowiek staje się bezdomny we własnym ciele. A samotność, ta prawdziwa, to właśnie bezdomność – nie fizyczna, lecz ontologiczna. Brak miejsca, w którym dusza mogłaby odpocząć. Od kilku lat prowadzę coś, co z braku lepszego słowa nazywam „dziennikiem przemijania”. Notuję tam nie wydarzenia, lecz myśli – często powtarzające się, obsesyjne, ale wciąż na nowo odkrywane. Piszę o czasie, który przesącza się przez człowieka jak przez dłoń zanurzoną w wodzie. Piszę o bólu istnienia, który nie ma punktu kulminacyjnego, tylko trwa – jak niekończący się akord. Najczęściej wracam do jednej refleksji: czy życie ma sens samo w sobie, czy tylko w relacji do innych? Jeśli to drugie, to czy samotność nie unieważnia całego wysiłku trwania? Czy cierpienie przeżywane w samotności ma mniejszą wartość niż to, które ktoś zauważył? A jeśli tak – czy nasze istnienie nie zależy bardziej od świadka niż od nas samych? Pamiętam pewien dzień – byłem wtedy w szpitalu, po drobnej ope-

racji. Na sąsiednim łóżku leżał starszy mężczyzna. Milczał cały dzień, patrzył w sufit. Dopiero wieczorem, tuż przed zaśnięciem, odwrócił się do mnie i powiedział: „Wie pan, najtrudniejsze jest to, że nie ma komu opowiedzieć własnego życia.” Potem zamilkł i już się nie obudził. Od tamtej pory często zadaję sobie pytanie: czy piszę, bo chcę opowiedzieć własne życie – czy raczej dlatego, że boję się, iż nie będzie komu? Być może na tym właśnie polega dramat samotności: nie na braku ludzi, ale na braku odbicia. Na świadomości, że lustro, do którego mówimy, już dawno zostało zdjęte ze ściany.

## **Część V – Drzwi, których nie otworzyłem**

Czasem pytam sam siebie – nie jak człowiek pyta człowieka, lecz jak cień pyta ciało, do którego przylega – co by się stało, gdybym wtedy inaczej się zachował. To był dzień pochmurny, choć nie padało. Warszawa miała w sobie tamten ciężki zapach zimy, która jeszcze nie nadeszła, a już zapowiadała swoje prawa: szarość, milczenie, chłód. To był dzień, kiedy miałem wybór. Dostałem list – od niej. Helena pisała z innego miasta, z innego życia, ale jej słowa miały wciąż ten sam rytm, co niegdyś jej krok, gdy schodziła po schodach w moim starym mieszkaniu. „Będę w Warszawie. Spotkajmy się.” Krótkie zdanie. Żadne „tęsknię”, żadne „potrzebuję cię”. Tylko ta prośba, a może zaproszenie – żeby spojrzeć sobie w oczy i powiedzieć to, czego kiedyś nie zdążyliśmy. Przeszedłem pod kawiarnię. Stałem po drugiej stronie ulicy. Widziałem przez szybę, jak siedzi, jak obraca filiżankę w dłoniach, jak co chwila spogląda w drzwi. Trwałem tam – niewidzialny, nierzeczywisty. A potem... odszedłem. Bez słowa. Bez gestu. Bez odwagi. Zostawiłem ją z niepewnością, może z bólem. Może – co gorsza – z obojętnością. Nie potrafię dziś wyjaśnić, dlaczego to zrobiłem. Czasem wydaje mi się, że bałem się prawdy – tej jednej, prostej: że już mnie nie kocha. Ale innym razem mam wrażenie, że bałem się jej spojrzenia, które widziało we mnie więcej, niż ja sam potrafiłem znieść. Bo Helena potrafiła widzieć

nie tylko to, kim byłem, ale i to, kim się stawałem. A ja... stawałem się człowiekiem bez korzeni.

To był moment, który zamknął drzwi. Nie tylko między mną a nią. Między mną a światem.

Od tamtej chwili moje życie stało się powolnym odchodzeniem od ludzi, miejsc, zdarzeń. Nie z nienawiści. Z lęku. Bo zrozumiałem, że każde spotkanie niesie w sobie możliwość utraty. A ja byłem już zbyt zmęczony stratą, by ryzykować jeszcze jedno „żegnaj”.

Czy żałuję?

Nie wiem. Żal wymaga nadziei, że coś mogło potoczyć się inaczej. Wtedy już nie wierzyłem w alternatywy. Wierzyłem tylko w konsekwencje.

## **Część VI – Nadzieja, gwiazdy świecące w ciemności**

Zdarza się czasem, że człowiek budzi się o świcie nie z powodu hałasu, lecz dlatego, że we śnie usłyszał coś, co nie daje spokoju. Tak było dziś. Obudziło mnie jedno słowo, którego nie pamiętam, ale które – jestem tego pewien – wypowiedziałem sam do siebie. Głos był mój, ale inny: młodszy, mniej zmęczony, jakby pochodził z czasu, zanim nauczyłem się milczeć z obawy przed brakiem odpowiedzi. Leżałem w pościeli, której chłód przypominał szept śniegu i po raz pierwszy od miesięcy poczułem coś niepokojącego. Nie ból, nie tęsknotę, nie żal. Poczułem możliwość. Tylko tyle – ale i aż tyle. Możliwość, że jeszcze coś przede mną. Że istnieje świat poza powtarzalnością moich dni, poza cieniem przeszłości.

Może to starość – ta najprawdziwsza, która nie polega na liczbie lat, lecz na dojrzeniu do zgody ze sobą. A może to był tylko sen. Lecz nawet jeśli był – miał moc. Otworzył we mnie przestrzeń, którą myślałem, że już замуrowałem na zawsze. Wstałem wcześniej niż zwykle. Ubrałem się wolniej, z jakimś dziwnym skupieniem, jakbym przygotowywał się do rozmowy. Z samym sobą.

A może – z nią. Jej obraz powraca ostatnio częściej, nie w postaci wyrzutu, lecz... cichej obecności. Jakby wciąż trwała gdzieś obok, nie po to, by przypominać o błędzie, ale by nie pozwolić zapomnieć, że mogłem kochać.

I że może jeszcze potrafię.

Zaparzyłem kawę, ale nie sięgnąłem po gazetę. Zamiast tego usiadłem przy biurku i zacząłem pisać. Nie dziennik. List. Nie wiem, do kogo. Może do niej. Może do samego siebie sprzed lat. A może – do tego, kim chciałbym jeszcze być. List zaczynał się od prostego zdania: „Jestem, choć długo mnie nie było.”

## **Część VII – Okno**

Od wielu dni pogoda była jednolita — chmury rozlane jak farba na starym płótnie, bez wyrazu, bez cienia dramatyzmu.

Tylko dziś coś się zmieniło. Poranek przyniósł światło. Nie jas-krawe, nie triumfalne – raczej nieśmiałe, jakby ostrożne wobec mojego świata. Światło, które nie narzuca się, ale zaprasza. Jak dłoń podana komuś, kto przez lata nie potrafił przyjąć żadnej. Stałem przy oknie. To okno znam na pamięć. Przez nie widzę nie tylko dziedziniec, ale i siebie sprzed lat – tego, który patrzył, marzył, bał się. Czasem mam wrażenie, że to nie ja wyglądam przez szybę, ale ona przez mnie. Bo w tym szkle odbija się nie tylko krajobraz, ale i wszystkie moje „nigdy”. Wszystkie niepodjęte rozmowy. Wszystkie drzwi, których nie otworzyłem. Dziś jednak było inaczej. Może to przez sen z poprzedniej nocy – ten sam głos, znów wypowiadający słowo, które budzi. Tym razem zapamiętałem je: „idź”. Nie wiem, czy to był nakaz, czy prośba, jednakże wystarczyło. Zszedłem na dół. Po raz pierwszy od miesiący wyszedłem na ulicę nie w celu, ale w intencji. Bez konieczności. Z samą chęcią. Szedłem powoli, czując ciężar własnego ciała, jego kruchość i siłę jednocześnie.

Przechodziłem obok ludzi i po raz pierwszy nie czułem się od nich oddzielony szybko. Byli tak samo samotni jak ja – i tak samo niepokodzeni. I może właśnie w tym, po raz pierwszy, znalazłem wspólnotę. Zatrzymałem się przy kiosku. Sprzedawczyni spojrzała na mnie z rozpoznaniem – może przypomniała sobie, że dawniej kupowałem tu tygodnik literacki. Uśmiechnęła się. Odwzajemniłem ten gest. Niewiele znaczący, a przecież – pierwszy od lat. To był dzień bez wydarzeń, ale pełen znaczenia. Jakby cały świat przestał się skupiać na mojej przeszłości, a zaczął istnieć obok – cicho, cierpliwie, czekając, aż do niego wrócę. Tego wieczoru znów usiadłem do pisania, tym razem nie pisałem do nikogo. Pisałem dla. Dla tego, kto być może przeczyta. Kiedyś. Gdzieś. Kogo nie znam. A mimo to – wierzę, że jest. I że też czeka.

## **Część VIII – Dom**

Minęło wiele dni, zanim odważyłem się tam wrócić. Nie wiedziałem, czego się spodziewać. Ani też, czego pragnę. Może nie chodziło o odpowiedź, lecz o gest — ten pierwszy, który nie jest ucieczką. Bo życie nie zaczyna się od deklaracji. Zaczyna się od powrotu. Cichego, niewidzialnego, ale prawdziwego. Dom dzieciństwa stał tam, gdzie zawsze. Otulony ciszą, zanurzony w nieco wyblakłej zieleni. Ogrodzenie przerdziało, furtka zaskrzypiała znajomo. Ten dźwięk obudził we mnie coś pierwotnego – jakby echo głosu ojca, który z ganku wołał mnie po imieniu, choć sam już dawno zamilkł. Wszedłem ostrożnie. Nie bałem się, po prostu nie chciałem zniszczyć ciszy, która przez lata wiernie strzegła tej przestrzeni. Każdy przedmiot był na swoim miejscu.

Usiadłem przy stole. Po raz pierwszy od lat poczułem, że nie jestem sam. Nie dlatego, że ktoś był obok – ale dlatego, że byłem ze sobą. Bez ucieczki. Bez odwracania wzroku. Spojrzałem na sie-

bie jak na człowieka, który przeszedł drogę – nie po to, by dojść gdzieś, ale by wreszcie zatrzymać się we właściwym miejscu. Znalazłem starą fotografię. Helena. Uśmiechnięta. Jej wzrok nie oceniał, nie wypominał. Po prostu był. Niosłem go ze sobą, nawet jeśli nieświadomie. Teraz, patrząc na nią, wiedziałem: nie da się cofnąć czasu, ale można przestać się go bać. Napisałem list. Bez adresata. Bez oczekiwania na odpowiedź. Napisałem, bo miałem już coś do powiedzenia. Sobie. Światu. Życiu. „Nie jestem już samotny. Samotność była moim domem. Teraz staje się moim ogrodem. Mogę w niej oddychać.” Pożegnałem się z domem nie słowami, lecz spojrzeniem i wyszedłem. W akceptacji.

W cichej zgodzie na wszystko, czym się było i czym można jeszcze być. Choć nic nie kończy się naprawdę, dopóki żyje w słowie.



**Beata Kotańska**

# **Kurs Samotności Dla Początkujących**

Nie planowałem uczyć się samotności. Wszakże jest to stan, który – przynajmniej w teorii – powinien przychodzić naturalnie. To przecież część życia, która nie powinna być ani demonizowana, ani gloryfikowana – po prostu istnieje. Zwłaszcza dla kogoś takiego jak ja: singiel po trzydziestce, pracujący zdalnie, z sąsiadem, który myli moje imię od trzech lat, i kotem, który mnie ignoruje, mimo że kupuję mu najlepsze saszetki.

Nie jestem typem człowieka, który szuka duchowych kursów rozwojowych. Nie wierzę w energię kryształów, nie robię wizualizacji i nie potrzebuję koła wsparcia, żeby powiedzieć „mam dość ludzi”. Ale pewnego wieczoru, scrollując bez sensu Facebooka, natknąłem się na ogłoszenie, które swą niesztampowością przykuło moją uwagę:

## **KURS SAMOTNOŚCI DLA POCZĄTKUJĄCYCH**

„Naucz się być sam. Z humorem, z dystansem, w towarzystwie ciszy.”

7 spotkań. Brak kontaktu fizycznego gwarantowany.

Doprawdy intrygujący był fakt, że ktoś w ogóle wpadł na pomysł, by uczyć ludzi bycia samemu. Jakby samotność wymagała instrukcji. A przecież dziś samotność to nie problem, który trzeba rozwiązać, tylko towar, który dostajemy w gratisie do cyfrowego życia – po dekadzie Instagrama, TikToka i znajomości z ludźmi, których zna się tylko z nicku.

Z czystej ciekawości – i może z powodu chronicznego znużenia – kliknąłem. Zapisane. Odruchowo. Nawet nie myśląc.

Zajęcia odbywały się w Domu Kultury „Przyszłość”, który wyglądał, jakby zatrzymał się na etapie „Przeszłość”. Piętrowy budynek z odpadającym tynkiem, szare korytarze, herbata z termosu, krzesła

z czasów późnego Gierka. Jednak przyznaję, że było coś kojącego w tym braku nowoczesności.

Sala numer 4. Na drzwiach kartka A4 z napisem „Nie mów nic. Słuchaj Siebie”. Uznałem, że to poetyckie, ale też praktyczne – nikt tu raczej nie chciał uskutecznić small talku o pogodzie.

W środku było nas siedmioro. I prowadzący.

Pierwsze wrażenie? Jak grupa ludzi, których los połączył w kolejce do urzędu, a nie na kursie samopoznania. Jedna dziewczyna z tatuażami i słuchawkami. Facet w koszuli w kratę z podręcznym notesem. Kobieta po pięćdziesiątce z wyrazem twarzy typu „ja tu tylko sprzątam”. Reszta wyglądała równie niepewnie co ja.

Prowadzący miał około czterdziestu lat. Mówił, jakby rozmawiał z samym sobą – bez pośpiechu, bez napięcia, z ledwo widocznym uśmiechem, który bardziej osiadał w głosie niż na twarzy.

– Samotność – zaczął – dziś dla wielu niemal przekleństwo. Kiedyś luksus. Czasem nawet dar. Spróbujmy sprawdzić, jak to działa.

Nie klaskaliśmy. Nie uśmiechaliśmy się. Było w tym wszystkim coś niezręcznego. Ale nikt nie wyszedł.

Pierwsze zadanie brzmiało: „Zrób nic przez 5 minut. Dosłownie nic. Żadnych telefonów, notatek, myśli o jutrzejszym praniu. Tylko... bądź.”

Siedziałem, wpatrywałem się w żółtą plamę światła na podłodze i doszło do mnie, że może właśnie na tym polega cały problem. Że nie umiemy po prostu być.

A to dopiero pierwsza lekcja...

Po tych pięciu minutach – które ciągnęły się jak wykład z etyki w liceum – zapadła długa cisza. Nie taka teatralna, pełna znaczeń, tylko zupełnie zwyczajna. Kiedy nikt nie wie, kto ma się odezwać pierwszy.

W końcu odezwała się kobieta z miną „ja tu tylko sprzątam” – miała na imię Magdalena.

– To było dziwne – powiedziała, zerkając na prowadzącego.  
– Nie spodziewałam się, że pięć minut może trwać dłużej niż cały poniedziałek w pracy.

Ktoś parsknął.

Ktoś inny chrząknął.

A prowadzący zanotował coś w swoim czarnym notatniku.

– Dziwne bardzo często bywa dobre – powiedział. – Ta dziwność to moment, w którym nasz umysł przestaje grać w znane gry. I wtedy dopiero można zauważyć, że siedzimy. Że oddychamy. Że jesteśmy.

Dziewczyna z tatuażami nie zdejmowała słuchawek, ale spojrzała na niego kątem oka. Miała taki wyraz twarzy, jakby już знаła wszystkie te teksty, ale z grzeczności jeszcze ich słuchała.

Prowadzący rozdał nam po pustej kartce.

– Napiszcie jedno zdanie – powiedział. – Nie do mnie, nie do grupy. Do siebie.

– Jakie zdanie? – zapytał mężczyzna w koszuli w kratę.

– Takie, które chcielibyście usłyszeć, ale nikt wam go jeszcze nie powiedział.

Zaskoczyło mnie to polecenie. Przez chwilę siedziałem, stukając długopisem w kartkę, aż w końcu napisałem:

„Nie musisz nikogo rozbawiać, żeby być lubiany.”

Spojrzałem na swoje pismo – jakby nie należało do mnie. Potem ukradkiem zauważyłem, że dziewczyna z tatuażami dopisała coś na swojej kartce, zgięła ją w pół i schowała do plecaka. Magdalena złożyła kartkę na cztery części, a facet w kratę... po prostu ją porwał i schował do kieszeni.

Prowadzący nie nakazał podzielić się tym, co napisaliśmy. I to był pierwszy moment, kiedy poczułem, że może ten kurs ma sens – bo nikt nie próbował z nas niczego wyciągać.

Nie było tu miejsca na tanie wzruszenia ani sztuczną energię – była tylko ta sala, siedem osób i początek czegoś, co dopiero nabierało kształtu.

Na koniec zajęć prowadzący – z lekkością, jakby mówił o czymś banalnym, choć w jego oczach czaiła się świadomość, że dla wielu to będzie najtrudniejsze z całego tygodnia – oznajmił:

– Zadanie domowe. Zaplanujcie sobie kolację. Taką prawdziwą. Bez rozpraszaczy, bez dźwięków w tle. Usiądźcie sami ze sobą – jak na randce, na którą przyszlście punktualnie. I postarajcie się naprawdę być.

Na chwilę zrobiło się jeszcze ciszej niż wcześniej.

Nie wiedziałem jeszcze, czy bardziej przeraża mnie myśl o wykonaniu tego dziwnego zadania, czy fakt, że miało w sobie coś niepokojąco słusznego.

Przez dwa dni obchodziłem ten pomysł niczym gorący garnek – niby głodny, ale nie do końca pewien, czy warto parzyć sobie palce. Próbowałem się sam ze sobą umówić, ale wciąż wydawało mi się to popaprane

W końcu, w środę wieczorem, postawiłem talerz na rogu kuchennego blatu, zapaliłem świeczkę – choć dla jednej osoby to absurd – i usiadłem z miską makaronu z pesto. Bez telefonu. Bez podcastu. Bez telewizora. Stwierdziłem, że skoro już w to wszedłem, to zrobię co facet każe.

Początek był niezręczny. Siedziałem w milczeniu, lustrując parujący makaron, i zastanawiałem się, czy to już ten moment „bycia”, o który chodziło. A potem, niespodziewanie, coś kliknęło. Jakby przestało mi zależeć, żeby ten wieczór czymś wypełnić. Nie przyszło żadne objawienie, ale wzruszyłem się trochę faktem, że tak mi dobrze w swoim własnym towarzystwie. Nigdy wcześniej się nad tym nie pochylałem.

Po wszystkim po prostu wstałem, umyłem talerz i zgașiłem świeczkę. I czułem się z tym wszystkim nawet więcej niż w porządku.

Na drugim spotkaniu w sali numer 4 było nas już tylko sześcioro. Dziewczyna z tatuażami nie wróciła. Magdalena zerkając na puste krzesło, powiedziała półgłosem:

– Może tak się dobrze bawiła na randce ze sobą, że już nie potrzebuje kursu.

Nikt się nie odezwał, ale kilka uśmiechów przemknęło mimochodem.

Prowadzący znów zaczął bez zbędnych wstępów.

– Zastanówcie się dzisiaj, co dla Was oznacza „być samemu”, a nie „czuć się samotnym”. Bo to nie to samo.

Wyjął z kieszeni małe lustro i położył na środku kręgu.

– Każdy z Was będzie się w nie wpatrywał przez trzydzieści sekund.

W ciszy.

Nie padło żadne „serio?”. Wszyscy posłuszni jak żony ze Stepford. Wstawało się po kolei. Lustro przechodziło z rąk do rąk.

Gdy przyszła moja kolej, pierwsze, co poczułem, to chęć odwrócenia wzroku – nie dlatego, że nie lubię swojego odbicia, tylko dlatego, że nie byłem przyzwyczajony do patrzenia na siebie bez powodu. Czułem się nienaturalnie. Ale wytrzymałem te pierwsze dziesięć sekund i wtedy, jakby razem z parą zszedł ze mnie cały ten wysiłek. I zobaczyłem, jak bardzo jestem zmęczony – nie fizycznie, tylko sobą. Swoim wiecznym „wszystko okej”, żartem na rozładowanie napięcia, tą presją, by każdy w moim towarzystwie czuł się komfortowo.

Prowadzący nie komentował. Zamiast tego wyjął kolejną kartkę i przeczytał:

– „Naucz się być swoim własnym domem. Bo jeśli Tobie średnio się w nim mieszka, to dlaczego miałbyś chcieć tam trafić ktoś inny?”

Zamilkł. Po chwili dodał tylko:

– Nie pytam, czy się zgadzacie. Ale zapraszam, żeby się nad tym zatrzymać.

Na koniec zajęć nie było zadania domowego. Prawdopodobnie po to, żebyśmy nie traktowali samotności jak kolejnej pozycji do odhaczenia na liście.

Trzecie spotkanie zaczęło się od pytania, które padło z nienacką:

– Kiedy ostatni raz spędziliście dzień w samotności... z własnej woli i chęci?

Nie zdążyliśmy jeszcze dobrze rozsiąść się na krzesłach, a prowadzący już czekał – z dłońmi splecionymi jak mnich i wzrokiem wbitym gdzieś między sufit a nasze myśli.

– Nie chodzi o to, że byliście sami, bo nikt nie miał czasu. Chodzi o to, że naprawdę tego chcieliście.

Zapanowała cisza. Nie ta niezręczna, tylko taka, w której coś się waży – jakby wszyscy sprawdzali swoje kalendarze w głowie.

Magdalena była pierwsza.

– Chyba nigdy – przyznała. – Zawsze ktoś czegoś chciał. Albo ja myślałam, że powinnam.

Facet w kratę uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Ja też milczałem, bo prawda była dość żenująca: nawet sobotnie pranie robiłem z podcastem w tle, żeby nie usłyszeć własnych myśli.

– Samotność – powiedział prowadzący – to nie kara. To przestrzeń. Można ją zasiedlić albo całe życie się jej bać.

Nie wiem, czy ktoś to zapisał. Ja nie. Ale to zdanie zostanie w mojej głowie na długo.

Tego dnia dostaliśmy coś, co prowadzący nazwał „propozycją zadania”, nie „zadaniem domowym”. Różnica była subtelna, ale nieprzypadkowa.

– Zróbcie coś tylko dla siebie – powiedział. – Coś, czego nie wrzucicie do relacji. Coś, o czym nikomu nie powiecie. Nawet jeśli to będzie tylko pół godziny z kubkiem herbaty. Ale zróbcie to świadomie. I sami.

Wróciłem do domu i przez godzinę siedziałem na łóżku, zastanawiając się, co to miałoby być. Czy można robić coś tylko dla siebie, jeśli nie czujesz, że na to zasługujesz?

W końcu wyszedłem. Bez telefonu. Bez celu. Chodziłem po okolicy, jakby była zupełnie nowym miastem. Patrzyłem w witryny sklepów, do których nigdy nie wchodzę. Zatrzymałem się przy kwaciarni i przez chwilę rozważałem kupno rośliny. Ale pomyślałem, że to byłby gest pod publiczność – nawet jeśli publiczność nie istnieje.

Zamiast tego wróciłem do domu, zrobiłem sobie kawę i zasiadłem w kuchni, patrząc na swoje dłonie. Nie zrobiłem nic spektakularnego. I właśnie w tym – jak sądzę – tkwił sens.

Na czwartym spotkaniu w sali numer 4 pojawił się ktoś nowy. Chłopak w dresie, około dwudziestu lat. Nie przedstawił się. Nie musiał.

– Znalazłem ogłoszenie – powiedział tylko. – Pomyślałem, że lepiej tu siedzieć niż scrollować TikToka i się dobijać.

Magdalena przesunęła się, robiąc mu miejsce.

Tego dnia nie było ćwiczeń ani było zadań. Prowadzący po prostu zapytał:

– Czy ktoś z Was choć trochę czuje, że już nie boi się być sam?

Zaskoczyło mnie, że nikt się nie odezwał – żaden ironiczny komentarz, czy nerwowy śmiech. Tylko cisza i spojrzenia, które tym razem nie próbowały uciec.

Nie odpowiedziałem. Ale po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że może samotność to nie pustka, tylko miejsce, do którego można się powoli urządzać.

Piąte spotkanie zaczęło się od czegoś, co prowadzący nazwał „pytaniem pomocniczym”.

– Co w sobie akceptujecie tylko wtedy, gdy jesteście sami?

Tym razem nie było luster, kartek ani zadań. Tylko to jedno pytanie. I nasze twarze.

Magdalena powiedziała, że swój nieogarnięty śmiech. Mężczyzna w koszuli – że strach przed telefonami od nieznanymi numerów. Ten nowy, w dresie, rzucił:

– Że czasem nie wiem, po co rano wstaję. Ale w samotności to jakoś mniej wstydliwe.

Nie czekałem, aż przyjdzie moja kolej. Po prostu powiedziałem:

– Akceptuję to, że nie muszę mieć zawsze racji. Że nie muszę błyszczeć. Że mogę być po prostu sobą bez fajerwerków.

Zaskoczyło mnie nie to, że to powiedziałem, ale że naprawdę tak myślę. Bez żartu, bez udawania. Po prostu całkowicie szczerze.

Na szóstym spotkaniu każdy z nas miał przynieść coś „samotnego”. Cokolwiek to znaczyło.

Magda przyniosła zdjęcie plaży o świcie, które zrobiła kilka lat temu na urlopie, gdy pierwszy raz wyjechała sama.

„Krata” przyniósł swój stary zegarek – pamiątkę po ojcu, który nosił go „na lepsze dni”, ale nigdy ich nie doczekał.

Ja przyniosłem pustą ramkę na zdjęcie.

– Symbolicznie – powiedziałem. – Jeszcze nie wiem, co tu wstawić. Ale chyba zaczynam rozumieć, że to miejsce nie musi być puste tylko dlatego, że nikt go nie zajął.

Prowadzący uśmiechnął się nieco szerzej niż zwykle. Nic nie powiedział. I dobrze. Bo niekiedy cisza jest najlepszym komentarzem.

Siódme, ostatnie spotkanie.

To było jak finał filmu, w którym nic się nie wydarza, ale czujesz, że wydarzyło się wszystko.

Prowadzący nie miał już żadnych ćwiczeń. Tylko pytanie:

– Co zabieracie stąd ze sobą?

Każdy miał coś do powiedzenia. Niekoniecznie wielkiego – czasem to była drobna decyzja, mała zmiana, coś z pozoru nieistotnego, co jednak miało znaczenie właśnie dlatego, że wypowiedziano to na głos. W ich słowach było mniej deklaracji, a więcej zgody na to, co niewygodne, ale prawdziwe. Na samotność, która nie musi być ani karą, ani triumfem – tylko miejscem, w którym można odpocząć od udawania.

A ja?

Zawahałem się. Ale powiedziałem:

– Może to głupie..., ale chyba zaczynam się lubić. Tak zwyczajnie. Bez stawianych samemu sobie warunków.

Nie wiem, czy ktoś z grupy mnie naprawdę usłyszał. Ale ja siebie usłyszałem. I to mi wystarczyło.

Wychodząc z sali numer 4, zatrzymałem się na moment w korytarzu, jakby coś jeszcze miało się wydarzyć. Może jakieś podsumowanie, ostatnie słowo, znak, że to już koniec. Ale nic takiego się nie stało.

I właśnie w tej zwyczajności było coś uwalniającego.

Nie poczułem olśnienia, nie miałem potrzeby spisywania wniosków. Raczej cichą ulgę – jak wtedy, gdy po długim dniu w końcu zdejmujesz z siebie wszystko, co niewygodne.

Nie stałem się kimś nowym. Ale coś we mnie – to, co zawsze próbowało nadążyć, dopasować się, zrobić dobre wrażenie – jakby w końcu odpuściło.

I może właśnie dlatego, po raz pierwszy od bardzo dawna, samotność przestała być czymś, od czego chcę się jak najszybciej oddalić. A zaczęła przypominać przestrzeń, w której można w końcu spotkać siebie tak naprawdę.



**Alicja Laszkiewicz**

## **Nie oglądaj się**

Dom Teodora był z czerwonej cegły. Starej, wypalanej jeszcze przed wojną, w czasach, gdy ogień miał cierpliwość, a cegła – godność rzeczy trwałych. Pochodziła z cegielni, której już nie było – zostało po niej tylko miejsce zapadnięte w ziemię, porośnięte chwastami, gdzie łopiany rosły jak wspomnienia, a ziemia parowała po deszczu jak rana, której nikt nie opatruje. Dom stał na końcu wsi, na granicy pól, które zarosły nawłocią i samotnościami. Jakby wszystko, co niepotrzebne, miało tam dojść, osiąść i zamilknąć. Stał cicho, wrośnięty w ziemię – trwał nie dlatego, że ktoś o niego dbał, ale dlatego, że jeszcze się nie rozpadł. Dach ugiął się pod własnym ciężarem, jakby sam sobą był zmęczony. Rynny zarosły mchem, zielonym jak pamięć, której nikt nie czyści. Komin pochylił się lekko, jakby się nad kimś modlił albo coś szeptał do ziemi. Cegły miały kolor suszonych liści, a ściany od strony północnej były zawsze chłodne w dotyku – nawet w lipcu. Wewnątrz pachniało starą sadzą, pszczelim woskiem i kurzem, który nie przeszkadzał – bo był jak cisza, do której się przywykło. Drewniana podłoga skrzypiała tylko wtedy, gdy naprawdę trzeba było przejść – jakby sama wiedziała, że lepiej milczeć. Światło wpadało przez okna ostrożnie, nie chcąc niczego zbudzić. Przez większość dnia wszystko było przygaszone, jakby czas też osiadł i zrezygnował z ruchu. Bywało, że w najcieplejsze dni, gdy pszczoły tłukły się o szyby, coś zdawało się jeszcze próbować żyć.

Latem, kiedy powietrze było ciężkie jak mleko, dziedziczące róże wbijały się w ściany domu, jakby próbowały go zatrzymać przy sobie – opleść, wrosnąć, nie wypuścić. Wieczorem pachniały zbyt słodko, jakby chciały coś przykryć. Jesienią wiatr przeciskał się przez okna, które już dawno przestały się szczelnie zamykać. Przesuwał firanki, poruszał

pajęczyny, zaglądał do środka i zniknął bez słowa. Zimą cisza robiła się gęstsza od śniegu – leżała warstwami, aż nie było widać kształtów. Nic się nie ruszało, nawet zegar, choć tykał. Wiosną wszystko milczało inaczej – jakby z nadzieją, że coś jednak się obudzi. Ale nie budziło się nic.

Teodor był dzieckiem, gdy przyjechał. Miał siedem lat i pamiętał tylko dźwięk zatraskujących się drzwi wagonu. Zapach matczynego chlebka z cebulą, zawiniętego w płócienną ściereczkę. I głos ojca, który powiedział tylko raz:

– Nie oglądaj się.

Wagony były towarowe, bez okien – tylko z wąskimi szparami przy dachu, przez które wpadało światło tak słabe, że nie rozjaśniało niczego, tylko rysowało cienkie kreski na kurzu. W dzień przez te kreski można było odczytać czy pociąg skręca – światło przechylało się wtedy jak cień zegara. W nocy nie było już nic. Tylko dźwięki – stukot kół, zgrzyt żelaza i oddychający w ciemności ludzie, których nie widziało się całymi godzinami. Wewnątrz pachniało węglem, potem, ziemniakami i strachem. Każdy go czuł, ale nikt o nim nie mówił. Matki tuliły dzieci pod płaszczami. Mężczyźni palili papierosy w milczeniu, chowając się pod ściany jak meble. Ktoś cicho modlił się przez sen. Ktoś inny śpiewał – bardzo cicho, z głosem ledwie żywym. Pociąg stawał czasem nagle, potem ruszał bez uprzedzenia. Niektórzy upadali, niektórzy zostawali leżąc. Mówiono, że jadą na koniec świata. Albo do domów, które już nie mają gospodarzy. Kiedy w końcu kazali im wysiadać, nie byli pewni czy to już, czy tylko przystanek. Schodzili ostrożnie po drewnianej rampie, trzymali się siebie jak ślepi. Ziemia pod nogami była gruba, mokra, obca. Pachniała gliną, sadzą i niedogastym ogniem. Jakby ktoś dopiero co uciekł i zostawił po sobie tylko zapach.

W domach, które mieli zająć, wszystko wyglądało tak, jakby czas nagle się zatrzymał. Na stołach zastygły talerze z jedzeniem – zupa pokryta cienką skórką, łyżki zatrzymane w geście, którego nikt już nie dokończył. W kubkach mleko jeszcze nie zdążyło się zsiąść. W pie-

cach popiół – ciepły, jakby dopiero co zgasło w nim życie. W budynku, do którego zaprowadzono Teodora z rodzicami, panował chłód, który nie zdążył jeszcze zająć wszystkiego. W powietrzu unosił się zapach gotowanego selera, mięty i dymu – jakby dom wciąż oddychał, ale już z trudem. Na kuchennym stole stała misa z zupą – błona na wierzchu napięta, jak skóra starego owocu. Obok – kubek z niedopitą herbatą. Pachniała jeszcze chwilą, która się skończyła. Na wieszaku wisiał płaszcz. A przy drzwiach – dziecięcy pantofel. Jeden. Zegar tykał. Zegary zawsze tykają, nawet gdy nie ma komu słuchać.

Miejsce, do którego trafili, nazywało się Ubocze – dawniej Schosdorf. Rozciągało się w dolinie, gdzie domy z czerwonej cegły i szachulcowe ruiny pamiętały jeszcze język, którego nikt już tu nie używał. Po wojnie przyszli nowi – z Sambora, Lwowa, z wiosek, których nazw nikt nie potrafił poprawnie zapisać. Przywieźli mękę, ikony i milczenie. Zasiedlili cudze domy, których poprzedni właściciele zniknęli nagle – jak dym. W szafach znajdowali zdjęcia, paciorki różańca, czasem niedopite butelki. O tym mówiło się szeptem. Albo wcale.

Zamieszkali w domu, który był czyjś. Ale teraz miał być ich. Matka codziennie ścierała kurz z kredensu. Ojciec naprawiał płot. Teodor uczył się ciszy. Tak minęły pierwsze lata. To był jeszcze czas, zanim ojciec zniknął. Mieli wtedy starą skrzynię po Niemcu, z rdzewiejącym zamkiem i wyblakłą naklejką: Bienen. Teodor zapamiętał to słowo, zanim zrozumiał, co znaczy. Ojciec otworzył skrzynię, wyjął kawałki drewna – różnej długości, poszarpane, ale pachnące żywicą. Ręce miał grube, popękane od pracy, ale rzeźbił cicho, jakby przepraszał każdy sęk, w który trafiał dłutem.

– Pamiętaj – powiedział – nie dociskaj siłą. Drewno samo pokaże, którędy chce pęknąć.

Teodor trzymał listewkę i nie oddychał. Uczył się ciszy drewna. Ul zrobili razem – toporny, ciężki, bez ozdób. Ojciec wbił gwoździe, Teodor trzymał kanty. Wieczorem niósł go do ogrodu jak coś świętego.

W środku jeszcze nic nie brzęczało, ale on już wiedział, że to będzie dom.

Pierwsze użądlenie zapamiętał lepiej niż jakiegokolwiek słowo. Nie bolało od razu. Najpierw było ciepło. Jakby ktoś dotknął go igłą nasączoną ogniem. Potem przyszedł ból. Gęsty, uparty, jakby chciał się wwiercić w skórę i zostać tam na zawsze. Ojciec powiedział tylko:

– Dobrze. Teraz cię uznają.

Wieczorem nie chciał jeść. Palce miał spuchnięte, pulsowały jak rana. Ale rano poszedł znów. Nie dlatego, że musiał. Dlatego, że one tam były. I że to coś znaczyło. Potem ojciec zniknął. Mówiono, że pojechał za pracą, że może wróci, że pisze. Ale nic nie przyszło – ani wiadomość, ani człowiek. Później ludzie mówili, że nie wytrzymał na tej ziemi. Że nie umiał żyć długo w domu, który pamięta cudzy język. Matka przestała mówić. Potem przez kilka miesięcy siedzieli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole i jedli w milczeniu. Zupa była zawsze ta sama – kartoflanka z majerankiem. Matka kroїła chleb na kromki, ale nigdy nie spojrzała mu w oczy. Wieczorami przestawiała naczynia w kredensie, jakby czegoś szukała. Ale nigdy nic nie znajdowała. Raz, kiedy podniósł kubek, zauważył, że jej dłonie się trzęsą. Nie zapytał o nic. Nie umiał. Zaczęła chodzić spać coraz wcześniej. Wreszcie przestała wstawać. Teodor raz spróbował powiedzieć: „mamo.” Ale brzmiało to, jakby zawołał kogoś, kto już nie mógł usłyszeć. I zanim Teodor zdążył dorosnąć – został sam.

Kiedy matka zmarła, nie organizował pogrzebu. Zrobili to sąsiedzi. Przyszedł ksiądz, ktoś z urzędu. Nikt nie pytał czy czegoś potrzebuje. On stał z tyłu, jak zawsze. Nie wypowiedział ani jednego słowa. Wieczorem poszedł sam na cmentarz. Zostawił na kamieniu mały słoik miodu – ciemnego, zeszłorocznego. Takiego, który gęstnieje z czasem i twardnieje w sobie. Nie zapalił znicza. Bał się, że zapach wosku będzie zbyt znajomy. Jakby mógł przywołać to, co w nim jeszcze nie zaschło.

Wieś miała ciszę wpisaną w krajobraz. Nie pustkę – tylko ciężką, gęstą ciszę, jakby przez lata ktoś tłumił każdy głos, każdy krok, nawet

wiatr. Tylko latem, gdy pszczoły rozbrzmiewały nad pasieką Teodora, dało się usłyszeć prawdziwe życie. Brzęczenie, które przypominało oddech – jednostajny, ciepły, pełen porządku. Jakby samo istnienie miało rytm, który tylko pszczoły potrafią utrzymać.

Pasieka rozrastała się z roku na rok. Pierwszy samodzielny ul Teodor zrobił z drewna po stajni, którą rozebrał po Niemcu. Potem kolejny i kolejny. Każdy ul miał inną duszę. Jeden był pokryty rzeźbieniami – ptaki i liście. Inny zbudowany z resztek drzwi z napisem „Willkommen”, którego nikt nie miał serca zdrapać. Niektóre ule pachniały żywicą, inne deszczem. Jeden – dymem, który zniknął bez śladu, jakby nigdy nic nie płonęło. Czasem myślał, że te ule to groby. Zamknięte, ciężkie, pełne życia, które nie ma już gdzie odejść. W jednym znalazł kiedyś zawleczkę od granatu – ktoś musiał ją tam wrzucić dawno temu. Nie wyrzucił jej. Położył na półce, obok paciorków różańca i pęku kluczy, które nie pasowały już do żadnych drzwi.

Teodor nie mówił do ludzi, ale mówił do pszczół. Zawsze szeptem. Wiedział, że pszczoły słyszą przez drżenie. Nie przez dźwięk, ale przez drżenie – jakby sercem. I dlatego nie wolno było krzyczeć w pasiece. Ani w środku, ani w duszy. Miał jedną rodzinę, która co roku próbowała odejść. Ul nr 4 – ten z deską od drzwi z napisem Willkommen. Zawsze, gdy przychodziła wiosna, rójka szukała drogi do lasu. I zawsze, nie wiadomo jak, wracała.

Teodor raz powiedział:

– Wiem. Ja też próbowałem.

Miód z tego ula był najciemniejszy. Pachniał dymem i życiem, które nie chciało się zaczynać. Zimą dogrzewał ule własnym ciałem. Siadał przy nich z kubkiem herbaty i kocem, opierając się plecami o bok ula. Mówił im, co było we wsi, choć niewiele się działo. Raz opowiedział o śnie, że ojciec wrócił, ale był cały z wosku. I rozpuszczał się w dłoniach. Wiedział, że ludzie we wsi go nie rozumieją. Ale pszczoły nie oceniały. W ich świecie było tylko to, co niezbędne: praca, porządek, cisza. I samotna matka w środku. To było mu bliskie. Pszczoły

były wolne od przeszłości. On nie był. Najgorsze było to, że pamięć nie przychodziła, tylko zostawała. Osiadała w kątach jak kurz, wnikała w ściany jak wilgoć. Jak dym, który nie chciał się rozwiać. Próbował coś zapomnieć – ale im bardziej próbował, tym mocniej to wracało. Głos ojca. Stukot kół na torach. Skrzywienie niemieckiej klamki, której nikt nie odkręcił. Miód, który zbierał, był ciężki, ciemny jak herbata parzona z liści, które przeleżały całą zimę w lnianym worku. Gęsty jak cisza po mszy. Ludzie ze wsi mówili, że jego miód pachnie jak modlitwa. Że ma smak wspomnień, które nie chcą zniknąć.

Teodor nigdy się nie ożenił. Nie dlatego, że nie miał okazji – po prostu żadna kobieta nie pasowała do tej ciszy. Kiedyś dziewczyna z sąsiedztwa przyniosła mu jabłka. Letnie, pachnące tak, jakby dopiero co spadły z drzewa. Miała może siedemnaście lat, sukienkę w drobne kwiatki i warkocz przewiązany niebieską wstążką. Twarz miała bladą, ale uśmiech – odważny jak na kogoś, kto przynosi jabłka do domu, który zawsze milczy.

– To z naszego sadu – powiedziała cicho. – Ojciec mówił, że Pan lubi antonówki.

Nie odpowiedział. Tylko skinął głową i otworzył drzwi szerzej, ale nie zrobił kroku w bok. Został w progu – jakby nie mógł się cofnąć ani przepuścić. Zostawiła jabłka na drewnianej ławce i odeszła bez słowa. Tego wieczoru nie zapalił światła w kuchni. Siedział w ciemności i patrzył, jak księżyc przesuwają się po podłodze. Rano jabłka już nie pachniały. Ich skórka zmatowiała, jakby noc odebrała im ostatnie światło. Położył je na parapecie i patrzył, jak powoli zapadają się w ciszę – jak wszystko, czego nie chciał dotknąć.

Jego życie było pełne rytuałów, które nie potrzebowały świadków: poranna herbata na ganku, dłonie zanurzone w wosku, rozmowy z pszczołami prowadzone szeptem. Samotność nie przyszła do niego nagle. Rosła powoli, jak mech na cegłach. Najpierw po dachu. Potem po ścianach. A w końcu weszła do środka i usiadła przy stole. I została.

Wieś pustoszała. Domy zapadały się w ziemię jak stare trumny. Dzieci wyjeżdżały, starzy umierali. Drogi zarastały, pola dziczały. Czasem dzwoniли na czyjąś śmierć. A czasem ktoś znikał tak cicho, że nie było po czym poznać. Tylko później nie świeciło się w oknie. Na pogrzeb staro Wojciecha poszedł z przyzwyczajenia. Włożył ciemną marynarkę, choć w kieszeni była dziura, a guzik wisiał na ostatnim włóknie. Szli wszyscy. W tej wsi ludzie odchodzili cicho, ale nikt nie był chowany samotnie. Zatrzymał się z tyłu, za topolą. Nie podszedł bliżej.

– Teodor – ktoś powiedział cicho. Głos miała suchy, kobiecy. – To był dobry człowiek.

Skinął głową, nie patrząc.

– Sam też nie masz już do kogo mówić, co? – dodała po chwili.

Nie odpowiedział. Przesunął palcem po krawędzi rękawa, jakby coś z niego zsuwał.

– Wpadnij kiedyś na herbatę – powiedziała kobieta. – Pamiętam, że lubisz z rumiankiem. Ale już jej nie było. Tylko ślady stóp na zmarzniętej trawie. Nie poszedł. Wieczorem długo czyścił dłutem ramkę w ulu. Cicho, z dokładnością zegarmistrza. Zeskrobywał resztki propolisu, jakby zdzierał coś z siebie. Wosk kleił mu się do palców, jakby nie chciał go puścić. Następnego dnia zniknęły ślady jego butów ze śniegu – jakby nikt nie stał za topolą. A jednak coś tam było. Coś, co nie zostawiło więcej żadnego śladu. Teodor pozdrowiał każdego, kto jeszcze szedł drogą – ale coraz rzadziej musiał się uśmiechać. Czasem siedział na progu z pustym kubkiem. Obok niego stał drugi – czysty, nigdy nieużywany. Dla kogoś, kto mógłby przyjść. Ale nikt nie przychodził. Nie czekał. Już nie.

To nie było czekanie. To był stan. Jak zamrznięta rzeka. Jak zegar, który tyka, ale wskazówki stoją. Jak trwanie, które kiedyś miało cel – a teraz już nie. Nie nadzieja. Tylko trwanie.

Pewnej zimy przyjechali nowi. Mieli zamieszkać w domu, który przez lata stał pusty – zarosły dzikim winem, z oknami jak zamknięte powieki. Teodor widział ich z daleka. Kobieta siedziała na schodach

i płakała, nie kryjąc łez. Dziecko stało przy niej – bose, z czerwonymi dłońmi, bez czapki. Mężczyzna zdejmował z wozu skrzynkę, przewiazaną paskiem i sznurkiem. Klął półgłosem, ale nie ze złości – raczej z bezradności.

Teodor miał w rękach słoik miodu. Gęstego, zimnego, pachnącego minionym latem. Już był przy ścieżce. Mógł podejść, zapukać, podać. Ale zawrócił. Powiedział sobie: „Nie moja sprawa.” Wieczorem usiadł przy piecu. Zaparzył herbatę i patrzył przez okno. W domu obok było ciemno. Z komina nie szedł dym. Zastanowił się przez chwilę czy wszystko u nich w porządku. Ale nie wstał. Nie podszedł.

Rano drzwi ich domu były uchylone. Przed progiem – ślad buta i rozrzucone drewno. Ktoś ze wsi powiedział, że kobieta próbowała rozpalić w kuchni. Nie wiedziała, że komin ciągnie słabo. Ogień przygasł i tlił się całą noc. Dym nie miał dokąd ujść. Został z nimi. Tlenek węgla zebrał się przy podłodze. Zasnęli. Już się nie obudzili. Mężczyzna znalazł ich rano. Nie krzyczał. Wyszedł na śnieg i usiadł. Tam go znaleźli. Potem zabrali. Nie wrócił. Teodor nie powiedział nikomu, że widział ciemność w oknie. Że czuł niepokój. Że mógł pójść. Ale nie poszedł... Od tamtej pory nie częstował już nikogo miodem. Herbatę pił w ciszy. Nie dlatego, że nie chciał mówić. Tylko dlatego, że nie wiedział czy jeszcze ma prawo. I może to nie samotność przyszła do niego. Może to on ją wybrał – wtedy, gdy wybrał milczenie. Gdy odwrócił wzrok. A potem już nic nie było jego sprawą. Nawet on sam. Całe życie był posłuszny tamtemu zdaniu: „Nie oglądaj się.”

Ojciec powiedział to tylko raz. Ale wystarczyło. Od tamtej pory odwracał wzrok — od ludzi, od przeszłości, od samego siebie. Aż wszystko, co mógł jeszcze zobaczyć, odeszło bez pożegnania. Gdy siadał na progu z tym pustym kubkiem, czuł, że śmierć nie jest czymś, co przyjdzie. Ona już była. Siedziała obok, jak stara znajoma, która nic nie mówi, tylko czeka, aż się ją poczęstuje herbatą. Ale on nie robił już herbaty dla gości. Bo gości się nie spodziewał. Bo dom z czerwonej cegły nie był już domem. Był miejscem, gdzie pamięć zaschła na ścianach jak miód, którego nikt już nie spróbuje.

## Aneta Lejwoda-Zielińska

# Zapomniany las

— To rudera! I okolica nieciekawa... – Walenciak nagle ściszył głos i rozglądając się na boki, jakby w obawie, że ktoś ich podsłuchuje, dodał: – Pani Agnieszko, proszę się nie upierać. To nie miejsce dla kobiety. Odkąd pamiętam, chałupa stała zawsze pusta. We wsi mówili, że tutaj straszy, że diabły po lesie grzybiarzy na mokradła zwodzą, ale wie pani, ludzie różne bzdury plotą.

– Ano plotą, panie Walenciak – odpowiedziała, muskając starą, płócienną serwetę niedbale zarzuconą na dębowy stół. – Zamierzam przeprowadzić tutaj remont, a pana proszę o pomoc. Sama nie wiem, od czego zacząć! Tyle tutaj roboty!

– Co mam nie pomóc – rzekł Walenciak. – Skoro taka pani wola, ale powtarzam, że to pieniądze wyrzucone w błoto. Ten las... eh, ludzie różnie mówią!

– Zapomniany las – szepnęła w zamyśleniu. – Zapomniany dla kogoś, kto chce zapomnieć...

Chyba nie usłyszał, bo skuliwszy się w sobie, ciągnął drżącym głosem:

– Pani Agnieszko, teraz taka moda wśród miastowych, że sprzedają mieszkania w blokach i ciągną na wieś, a za nimi cały zgiełk i smród ich dotychczasowego życia. My tu gospodarzymy z dziada pradziada i szacunek do natury mamy. Matka zawsze mnie przestrzegała, żebym do lasu na mokradłach nie chodził, do opuszczonej chałupy nie zaglądał. W czasie wojny Niemcy partyzantów tutaj rozstrzelali, pogrzebać ich nie pozwolili. Ciała leżały na polanie w słońcu. Las sam pogrzeb im urządził. Na cmentarzu nie godzi się budować życia.

Uśmiechnęła się. Całe jej życie usiane było przecież mogiłami. Śmierć towarzyszyła Agnieszce na każdym kroku. Uparcie szła jej śladem, zawsze uderzając celnie, w samo serce. Pora przestać uciekać. Wystarczyło jedno spojrzenie, by stara, drewniana chałupa utkana dziurami jak sito, stała się jej bliższa niż cokolwiek na świecie. Jakże były do siebie podobne, naznaczone ranami, stare, samotne, zmęczone. Nie było się nad czym zastanawiać. Decyzję podjęła od razu. Bez żalu rzuciła szybką, błyskotliwą karierę w jednej z warszawskich firm, sprzedała mieszkanie i przyjechała tutaj, na sam kraniec świata. Zostanie. Ten las ją przyjmie, jak przyjął ciała pomordowanych żołnierzy.

Walenciak umilkł. Czowała na sobie spojrzenie jego jasnych, pocziwych oczu. Nie powiedział nic, czego by wcześniej nie słyszała. Od czasu, kiedy pojawiła się we wsi, on jeden jej sprzyjał, przyjął pod dach, ugościł i chronił zawzięcie przed nieufnością sąsiadów.

– Ze strachu to robią – mawiał, gdy ludzie, żegnając się znakiem krzyża, uciekali przed nią w popłochu. – Przywykną... Trzeba czasu, na wszystko trzeba czasu.

Powtarzał te słowa jak jakąś mantrę. Pocziwy chłop gotowy przychylić jej nieba, byleby zmieniła zamiary. Pomysł osiedlenia się na Słonecznej Polanie, bo tak w myślach nazwała ten zapomniany przez ludzi skrawek ziemi, od początku nie spodobał się Walenciakowi ani jego żonie. Na różne sposoby próbowali ją odwieść od zamiaru zamieszkania na odludziu.

– A bo to nie ma innych miejsc? – sarknęła Jagna Walenciakowa, krojąc słońcę na smalec. – Pani Agnieszko, a chociażby u nas... Chałupa duża, dla wszystkich znajdzie się kąt! Po co kusić złe? Na moczarach podobno sam czart grasuje!

Znała już mnóstwo takich opowieści, mrocznych, pełnych okropieństw, duchów, strzyg i diablików, opowieści, od których jeżyły się na głowie włosy, a serce truchlało w piersi. Co dzień dochodziły nowe. Umyśliła sobie, że gdy już osadzi się tutaj na dobre, spisze te

wszystkie historie i pośle Jankowi, znajomemu jeszcze z czasów pracy w wydawnictwie, dobrych, szczęśliwych czasów. Westchnęła, chyba zbyt głośno, bo Walenciak chrząknął i poruszył się niespokojnie.

– Pani Agnieszko – usłyszała niepewny głos starego – trzeba czasu...

– Wiem – przerwała mu i spoglądając przez okno na ciemną ścianę lasu, powiedziała: – Dach dziurawy, koniecznie musimy załatać, wstawić nowe okna i drzwi, uprzętnąć ten bajzel! Dobrze by było zacząć od jutra, tylko że sami nie damy rady. Ludzi nam trzeba. Zna pan może kogo?

Walenciak znowu chrząknął, a potem drapiąc się intensywnie po masywnym karku, począł spacerować między rozrzuconymi po izbie sprzętami.

– Ano... – zaczął – sama pani wie, ludzie się boją. Będzie ciężko, ale gdyby pani zmieniła zdanie i tę chałupę po starej Józwickowej wzięła, na pewno przekonaliby się, pomogli, a tak...

– Panie Stanisławie – rzekła z uśmiechem – postanowiłam adoptować Słoneczną Polanę. Czuję, że ona mnie akceptuje. Pasujemy do siebie.

Jakby w odpowiedzi dobiegł ich uszu melodyjny trzel jakiegoś ptaka.

– Słyszysz pan? Pięknie, prawda? To słowik! – zawołała. – Jego śpiew przynosi szczęście.

Walenciak stanął w kącie, wsparł się łokciem o starą komodę, aż skrzypnęła i zwróciwszy twarz do okna, zaczął wsłuchiwać się w świergot leśnego śpiewaka. Jego przysadzista postać wydawała się Agnieszce w tej chwili nieco komiczna. Grube ramiona, szerokie bary, zmierzwiona broda w kolorze lnu nadawały mu wygląd przerośniętego krasnala. We wsi uchodził za mędrca, bardzo go ceniono, szczególnie za wiedzę i doświadczenie, ale i za dowcip, niezwykle cięty język. Dziwny to był człowiek, czasem małomówny, czasem szorstki, jednocześnie dobry i prostoduszny. Ktokolwiek miał jakiś kłopot, potrzebował rady,

pszczelego miodu albo po prostu chciał pozbyć się bolącego zęba, szedł do Stanisława Walenciaka. Gdy przed trzema miesiącami Agnieszka przyjechała do Sokolnik z zamiarem napisania artykułu o rzadkich gatunkach ptaków i roślin, nie spodziewała się, że zwiąże swój los z losem tego osobliwego starca. Dla niej był jak ojciec.

– To dusza jakiegoś nieszczęśnika woła o pomoc – szepnęła, wrywając ją z zamyślenia. – Późno już, wkrótce zmierzch. Pani Agnieszko, wracajmy lepiej do wsi. Nie ma co po ciemku włóczyć się po lesie, jeszcze jakieś licho przywlecjemy do chałupy za sobą.

Straszili wszyscy, na każdym kroku stare podania, gusła, tajemnicze obrzędy z pogranicza czarnej magii, wianki z ziół, gałązki i dzwoneczki przy drzwiach, zaklęcia szeptane przy zasłoniętych oknach. W ciągu tych zaledwie kilku tygodni napatrzyła się i nasłuchiwała niemało.

– To tylko słowik – powiedziała. – Nie wstyd panu tak mnie straszyć? – dodała, grożąc mu filuternie palcem.

– Ja tam swoje wiem, pani Agnieszko – mruknął. – Zbierać się trzeba! Berta i po omacku do domu wróci, ale...

Nie dokończył, tylko nacisnął kapelusz na głowę, westchnął głęboko i ruszył szybko do wyjścia.

Rzeczywiście, słońce było nisko nad horyzontem. Jego ostatnie promyki, zagubione wśród zbitej masy gałęzi, nie docierały już do polany, tonęła w głębokim cieniu.

Berta nie podzielała zaniepokojenia swego pana, skubała spokojnie trawę, wybierając spośród zielska co smaczniejsze źdźbła mniszka i koniczyny. Była to stara klacz pociągowa, można powiedzieć emerytka, którą Walenciak zaprzęgał tylko do wozu. Nawet jeśli podczas drogi przysnęło się gospodarzowi, szła równo, bez szaleństwa, zawsze trafiając do domu. Na widok pana Stanisława delikatnie zakołysała ogonem.

– Najadłaś się, maleńka? – zapytał pieszczotliwie, głaszcząc ją po grzywie. – Na nas pora!

Klacz potrząsnęła łbem i prychnęła kilka razy jakby na znak, że się zgadza. Była ulubienicą gospodarza. Jak silna łączyła ich więź, ocenić mógł tylko ktoś, kto widział tych dwoje obok siebie. Agnieszka przyglądała im się zawsze z fascynacją. Tak też było i tym razem. Stojąc w drzwiach leśnej chaty, patrzyła, jak Berta żywo reaguje na każde słowo gospodarza, jak wesoło wtedy strzyże uszami, macha ogonem z boku na bok.

– Dasz radę, maleńka. Dasz radę. Ty jedna odważna, ty jedna... – powtarzał Walenciak, zaprzęgając klacz do wozu.

Gdy ruszyli, nad polaną unosiła się już lekka, wilgotna mgła, znacząc ziemię bladymi pasmami. Wóz z cichym skrzypieniem zagłębił się w mrok lasu. Wieczór nadchodził szybko. Agnieszka miała wrażenie, że szybciej niż zwykle. Kiedy znaleźli się wśród drzew, poczuła przenikliwy chłód, sięgnęła więc po leżący na siedzeniu koc, okryła się nim szczelnie i zaczęła rozglądać wokół. W promieniu kilku kroków nie widziała nic oprócz gęstniejącej z chwili na chwilę ciemności. Wszystko w okamgnieniu zamazywało się, zatracalo kształty, przeobrażało w jedną, wielką, nieprzeniknioną, sięgającą nieba, ścianę czerni. Walenciak zapalił przytroczoną do wozu lampę naftową. Blade światło rozproszyło mrok. Jechali w milczeniu, wsłuchując się w odgłosy lasu i własne myśli. Berta szła wolno.

Agnieszka zamknęła oczy. Jeszcze nie tak dawno siedziała w pustym mieszkaniu na Mokotowie, rozpamiętując przeszłość. Warszawa miała być dla nich szansą na nowe życie. Krzysztof znowu zaczął rzeźbić, a ona rzuciła się w wir pracy w firmie, potem przyszedł awans. Kupili mieszkanie, samochód. Wszystko się układało. Po tym wszystkim, co przeszli, znowu zaczynało być normalnie, przynajmniej bardzo się starali, by tak właśnie było. Policja już dawno umorzyła śledztwo, a oni... no cóż, oni pragnęli zapomnieć. Nie zapomniała. Koszmar wracał, a w sercu ciągle tliła się nadzieja.

Czasem wystarczyły odgłosy zabawy dobiegające z osiedlowego podwórka albo widok niebieskiej, pluszowej narzutki na dziecięcym

wózku, by nadzieja na odnalezienie Bartusia całego i zdrowego na nowo w niej odżyła. Wychodziła z domu i zupełnie jak wtedy, zaraz po porwaniu, całymi godzinami chodziła po mieście lub wystawała na placu zabaw, wpatrując się w dzieci. A potem ten straszny wypadek Krzysztofa, pogrzeb, pojedyncze obrazy widziane jakby przez mgłę, depresja, długie miesiące spędzone w zakładzie psychiatrycznym, leczenie i powolny powrót do rzeczywistości. Los nie oszczędził jej niczego. Jakby nie dość się nacierpiła...

– Stój, stóóój maleńka! Stój... – Usłyszała nagle głos Walencia-ka dobiegający jakby z oddalenia. Koła cicho skrzypnęły, wozem szarpnęło. Zatrzymali się.

– Co się stało, panie Stanisławie? – zapytała Agnieszka, odpychając od siebie bolesne wspomnienia.

Rozejrzała się, próbując przeniknąć wzrokiem otaczającą ich czerń, ale las krył skrzętnie swoje tajemnice.

Walenciak nie odpowiedział, machnął jedynie ręką, dając do zrozumienia, aby została na miejscu. Powoli zszedł z kozła. Patrzyła, jak ostrożnie, trzymając się lotry wozu, ruszył do przodu. Klacz niespokojnie strzygła uszami. Poklepał ją uspokajająco po zadzie, a ona prychnęła na znak, że ufa mu bezgranicznie.

– Nooo, maleńka, przecież nie chcemy, by mu się stała jakaś krzywda, prawda? — powiedział, schylając się.

W nikłym świetle lampy Agnieszka dojrzała, jak mężczyzna podnosi z ziemi jakieś zawiniątko. Musiało leżeć na drodze. Może spróchniały pień, stara szmata albo zwierzę, które spłoszone hałasem wbiegło wprost pod końskie kopyta.

– Skąd żeś się tutaj wziął, biedaku? – zapytał stary, kładąc na derkę swoje znalezisko. — Gdyby nie Berta, byłoby po tobie...

Wilczek mógł mieć ze trzy, cztery tygodnie.

– Musiała go odtrącić matka – stwierdził Walenciak i przysunąwszy bliżej lampę, zaczął przyglądać się zwierzęciu. – Cały pokaleczony i ledwo zipie! Bez watahy nie przeżyje!

Rzeczywiście, mały był skrajnie wycieńczony, z ranami na grzbiecie i kończynach. Delikatnie pogłaskany po pyszczku, na chwilę otworzył zaropiałe ślepie. Nie bój się, nieboraku, pomyślała Agnieszka, teraz należymy już do siebie.

– Swoi go nie chcieli. Zostanie ze mną... – szepnęła, otulając malca kocem. – Panie Stanisławie, ten las pragnie mi coś ofiarować na powitanie i ja przyjmuję ten dar ze szczerego serca. Od jutra ruszamy z remontem.

— Pomożemy pani zająć się malcem! – oznajmił wzruszonym głosem stary. – Pod naszym dachem jeszcze żadne stworzenie krzywdy nie doznało! Ile to żeśmy z Jagną różnych stworzeń leśnych uwolnili z wnyków, ile przygarnęli, długo by opowiadać! Żle samemu na świecie...

Agnieszka milczała, głaszcząc wilczka po pysku. Ona wiedziała najlepiej, jak bardzo samotność potrafi dokuczyć człowiekowi. W jednej chwili odbiera chęć do cieszenia się z czegokolwiek, pozbawia wszelkiej nadziei, w zamian ofiarowując tylko ból, obezwładniający, uniemożliwiający jakiegokolwiek działanie.

Czuła też, że los wreszcie się zlitował, stawiając na jej drodze dobrych ludzi. Walenciakowie, sami straciwszy jedyne dziecko, rozumieli ją lepiej niż ktokolwiek. Bez zbędnych słów, ceregieli, użalania się, umieli celnie dotrzeć do źródła bólu i uśmierzyć go zawsze wtedy, gdy najbardziej doskwierał. Była pewna, że w każdej chwili wesprą ją dobrą radą, pomogą, gdy braknie sił. Zaraz po przybyciu do Sokolnik odstawiła leki i to nie dlatego, że były nieskuteczne, po prostu już ich nie potrzebowała. Ukojenie przynosiła praca w ogrodzie, długie spacery po okolicznych polach i lasach, a chyba najbardziej możliwość szczerzej rozmowy z mieszkańcami, jakże innymi od ludzi, których spotykała do tej pory. Zapragnęła osiąść tutaj na stałe. Stara chałupa w Zapomnianym Lesie – bo odkąd usłyszała jego historię, tak właśnie nazywała to miejsce – stała się przedmiotem jej marzeń. Zamieszka na Słonecznej Polanie, postanowiła, i zacznie wszystko od nowa, może w końcu na

poważnie zajmie się pisarstwem. Był przecież taki czas, że pisała to i owo, co prawda głównie artykuły do czasopism przyrodniczych, ale trafiały się też krótkie opowiadania.

– Zbladła pani – usłyszała zatroskany głos Walenciaka. – A może napije się pani łyeczka miodu? Rozgrzeje!

Wyroby Walenciaków słynęły nie tylko w okolicy, ale i w całym województwie. Ludzie przyjeżdżali po miód nawet ze stolicy, bo kto raz zasmakował w słodkim przysmaku z pasieki pana Stanisława, z chęcią wracał do Sokolnik i kupował cały zapas dla siebie, rodziny i znajomych. Każdy próbował, uśmiechał się i z zadowoleniem mówił, że dla takich pszczelich specjałów warto było tłuc się przez pół Polski. Pszczół doglądał głównie gospodarz, znał się na tym jak mało kto, gospodyni zaś gromadziła miód w słoikach w kształcie beczułki, naklejała na każdy płócienny kwadracik z wyhaftowaną pszczołą i ustawiała w spiżarce jeden koło drugiego. Prezentowały się pięknie, ciesząc oczy każdego, kto na nie spojrzał.

W gospodarstwie nie brakowało roboty, od wschodu do zachodu słońca krzątania w domu, obejściu i ogrodzie, a pomimo to Agnieszka nigdy nie słyszała narzekania, wprost przeciwnie, na każdym kroku wesołe śpiewy i żarty. Widać było, że w domu tym goszczą miłość i wzajemny szacunek, choć przecież i tu śmierć swego czasu wzięła bogaty łup. Jagna Walenciakowa była dobrą gospodynią. Ta niewysoka, szczupła, zdawałoby się niezwykle krucha kobieta potrafiła w ciągu kilku godzin oporządzić własne gospodarstwo i jeszcze wspomóc innych, mniej zaradnych mieszkańców wioski.

– Co tu marudzić – mówiła, gdy ktoś zaczynał gderać. – Taka pszczoła... malutka, delikatna, a samo z niej dobro, słodkie i zdrowe. Nie narzeka, nie ociąga się, tylko pracuje na chwałę Boga!

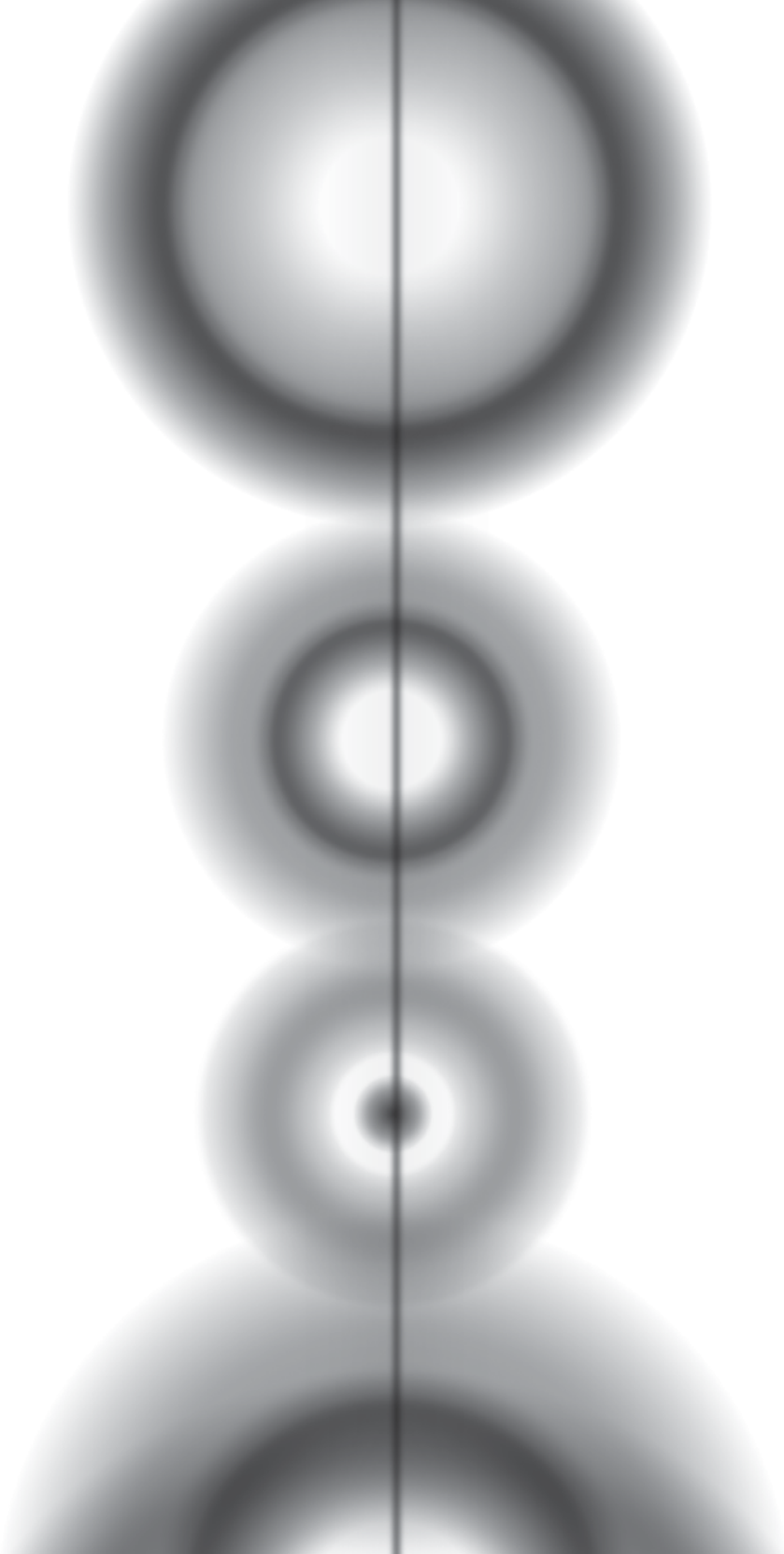
Była taką pszczołą, małą i kruchą, a jednocześnie silną i wytrwałą. Agnieszka uwielbiała przebywać w jej towarzystwie. Czuła, że ta obecność wzmacnia ją, nasycza nadzieją, przywraca światu. Tutaj wszystko było proste. Pojawiały się jednak i takie momenty, kiedy

wydawało jej się, że wszystko, co ją otacza, jest snem, jakąś ułudą daną na chwilkę... chwilkę, która wkrótce zniknie, pozostawiając tęsknotę za czymś, co się nigdy nie zdarzyło.

Miewała takie sny, zwłaszcza w szpitalu, gdy odurzona lekami nie odróżniała dnia od nocy. Wszystko zlewało się w jedno. Wszystko było cierpieniem – każde słowo, spojrzenie, każdy oddech, dźwięk, kęs jedzenia. Śniła o czasach sprzed porwania Bartusia, o beztrosce, lekkości, ciepłe, czułości i bezpieczeństwie. Krzysztof co sobotę wypożyczał auto od swojego ojca, jechali za miasto posłuchać ptaków, fotografować stare, olbrzymie drzewa w Puszczy Kampinowskiej. Wdychając zapach leśnej ściółki, patrzyła na rozpostarte na niebie korony dębów i buków, czuła się szczęśliwa. Kiedy sen mijał, nienawidziła wszystkiego wokół, bolesnej dosłowności świata. A co jeśli i teraz śni? Jeżeli nawet tak jest, nie chce się budzić...

Sen, który przynosi doznania tak prawdziwe i piękne, na wskroś przesiąknięte nadzieją, że pobudka mogłaby zabić, niech trwa jak najdłużej, całą wieczność. Nie dałaby rady na nowo się podźwignąć, uwierzyć w jakieś jutro, gdyby okazało się, że wszystko jest złudzeniem.

– Napiję się, panie Stanisławie, napiję... – szepnęła i z czułością pogłaskała po pysku wilczka.



**Marcin Lewiński**

# Ostatnie piętro

I

Nie wiem, od kiedy jestem sam. Nie potrafię wskazać dnia, w którym ostatni raz rozmawiałem z kimś naprawdę – nie przez telefon, nie w sklepie, nie przez zamknięte drzwi. Zresztą, czy to kiedykolwiek miało miejsce? Może zawsze byłem sam, tylko niejasne złudzenia podpowiadały, że obok są jacyś ludzie. Przyjaciele rozmyli się w oparach mgły przeszłości. Rodzina, no tak, był jakiś ojciec, matka, siostra czy brat. Rozjechało się towarzystwo, niektórzy za granicę, inni za granicę swojej świadomości, a jeszcze inni w zaświaty. Pamiętam tylko szum – jak fale w głowie, albo może to był telewizor grający w tle. Pamiętam wybuch. Może złości. Może gazu. I trzaśnięcie drzwiami – jedno z tych, po których +zostaje echo w ścianach, dłużej niż najodleglejsze wspomnienie z dzieciństwa. Żona? Kochanka? Dziwka? Twarze już się zlewają, jakby Renoir czy inny Monet niedbale rozmazał je na obrazie życia. Samotność osiadała powoli, niepostrzeżenie jak kurz, beznamiętnie. Nie przyszła nagle. Teraz trwa jak noc w pustym pokoju, gdzie nikt nie zapala światła.

Pisk windy to jedyne co, co jakiś czas wrywa mnie z otępienia. Codzienna rutyna – jak bicie serca budynku, pionowa oś samotności, która przewozi ludzi w górę i w dół z godną pozazdrosczenia wyrozumiałością. Niektórzy wysiadają na moim piętrze – tych rozpoznaję po charakterystycznych dźwiękach kroków, skrzypieniu drzwi, chrobotaniu klucza w zamku, czasem nawet po krótkim kaszlnięciu. Wszystko odmierzane dokładnie nanosekundami. Są też tacy, co pojawiają się tylko raz – jednorazowe przesyłki, przynoszą zapach perfum, dziecięcy śmiech albo kłótnię o pieniądze. Kto? Komu? Ile? Znikają tak samo jak się pojawili, szybko i bezboleśnie w sposób

jedynie nieistotny. Dla mnie to nieznaczny przejaw prymitywnej formy życia, za którym nie tęsknię – ten krótki moment, w którym przypominam sobie, że świat nadal się kręci, a gdzieś tam w niebezpiecznie zewnętrznym chaosie świata (nie) żyją ludzie. Nic więcej.

## II

Dzień zwykle zaczyna się o tej samej porze, choć nie musiałby wcale wstawać i uruchamiać tej codziennej procedury. Budzik dzwoni jedynie z przyzwyczajenia – nie pracuję od lat, ale nie umiem, nie mam sumienia go wyłączyć. Dźwigam się z łóżka nie dlatego, że chcę, tylko dlatego, że nie mam już siły leżeć. W łazience światło żarówki leniwo miga jak wymuszone ostrzeżenie – nie wchodzi, nie warto, to niczego nie zmieni. Myję zęby, dokładnie trzy minuty jakbym chciał się trzymać jakiegokolwiek porządku. Jakby od tego miały zależeć dalsze losy świata. Nie zależą.

Na śniadanie – jajecznicą. Trzy jajka, trochę mleka, sól, pieprz. Bez cebuli, bo potem ciągnie się ten zapach po całym mieszkaniu i przypomina, że dobrze byłoby wywietrzyć pokoje. Przewietrzyć ciało, myśli i duszę. Tym bardziej, że nie wychodzę, nigdy, od lat. Jem powoli, patrząc w okno. Widok na śmietnik. Dziś ktoś wyrzucił dywan. Wczoraj była kanapa. Codziennie coś, co kiedyś komuś służyło, bez czego nie mógł się obejść. Teraz gnije w słońcu jak wspomnienia, których nikt nie chce. Uciążliwy motyw vanitas. Na przeciwko na balkonie znowu ten wielki pies, nie odpuszcza żadnemu przechodniowi. Na mnie też kiedyś czekał, dawno, gdy jeszcze wychodziłem. Choć wszystko mija, nic się nie zmienia. Dzień się toczy, świat się kręci, ale to tylko ruchy pozorne. Ułuda.

Po śniadaniu w fotelu – tym samym co zawsze, wytartym na podłokietnikach. Kartkuję książkę, którą czytam od miesięcy. Właściwie nie czytam, tylko przerzucam strony, jakbym chciał udawać przed samym sobą, że coś robię. Autor nie żyje. Bohater zaplątał się

w wirze domysłów innych postaci. Zostałem ja, sam – żywy trup między wierszami. Tabula rasa.

O trzynastej gotuję obiad. Ryż, kurczak, trochę warzyw z mrożonki. Każdego dnia to samo. Niby mógłbym coś zmienić, ale nie widzę powodu. Przecież nie gotuję dla nikogo. Nie dla siebie, nie dla wspomnień. Dla rytuału. Dla udawania, że dzień ma jakiś szkielet. Zapach, kolor, kształt.

Po obiedzie zasłaniam rolety. Słońce drażni. Przeszkadza. Przypomina, że gdzieś tam jest świat. Zaciemniam pokoje, żeby móc udawać, że świata nie ma. Dryfuję w kosmosie, zagubiony we wszechświecie statek kosmiczny. Solaris. Bez łączności z bazą, z Ziemią, ze światem, który odległy nie ma już żadnego znaczenia. Wtedy można spać. Udać się do krainy marzeń, jedyne miejsce, które sprawia, że ciało, rozum i serce prawdziwie żyją, odpoczywają w spokoju. Znikanie czasu.

Sny, coraz głębsze, zapadam się w kolejne kręgi czarnej samotności. Bezgłośnie krzyczę do ludzi. Stoję w tłumie, ale nikt mnie nie zauważa, więcej, nie widzi. Tonę w gęstwinie powietrza, duszę się, powoli zanikają kolejne części ciała. Palce, całe dłonie, ręce, tułów, nogi, głowa szamocze się, kręci, próbuję otworzyć oczy, nie mogę, jestem bezsilny jak bezsilny może być tylko człowiek, pogrążony w swoim śnie. Swoista incecja, zapadam się w kolejne kręgi coraz czarniejszej samotni. Bezgłośnie krzyczę, nie ma nikogo wokół. Tonę w gęstwinie mroku, dławię się, zanika moja głowa, próbuję otworzyć oczy, głowa szamocze się, wybudzam ten sen.

### III

Nagle pisk – nie ten codzienny, mechaniczny jęk windy, który stał się dla mnie tłem, jak szum lodówki czy bicie własnego serca. Nie, to dźwięk ostry, rozrywający. Potem rumor. Jakby coś się urwało. I stłumiony krzyk. Prawdziwy, ludzki krzyk – wydobyty z gardła,

z wnętrza. Nie filmowy, nie teatralny. Taki, którego nie słyszy się w moim świecie.

Winda stanęła. Utknęła między moim piętnem a tym niżej. Ze szpary między drzwiami sączyło się światło – pulsujące, czerwone, jakby serce tego stalowego potwora z jakiegoś powodu zaczęło bić mocniej. Lampka awaryjna. Coś migotało. Ktoś w środku jęczał. Głos. Cichy, ale dziwnie znajomy.

Zamarałem. Serce, które od lat chodziło na zwolnionych obrotach, nagle wzięło dwa kroki do przodu, potem trzy do tyłu. Jakby chciało wziąć rozbieg, rozpędzić się i z prędkością światła dogonić ten znajomy... głos. To nie mogło być prawdziwe. Ten tembr, ta miękka końcówka sylab, to westchnienie między słowami. Niemożliwe. Przecież ona... Przecież odeszła. Umarła.

Zorganizowałem pogrzeb zgodnie z jej ostatnią wolą. Biała urna, muzyka Mozarta, garść ziemi i kilka słów, których nie pamiętam, bo mówiłem jej nie do niej, tylko do pustki, która została. Nie pogodziłem się z tym. Nie mogłem. Przecież obiecała. Mieliśmy umrzeć razem. Taki był plan. Jak dzieci obiecaliśmy sobie, że jedno bez drugiego nie odejdzie. Nigdzie. A na pewno nie na tamten świat. Opuścimy go razem w romantycznym zatrutym śnie. Współcześni, trochę śmieszni kochankowie z Werony. Stuletni Romeo i wiecznie młoda Julia.

Rak okazał się złośliwy nie tylko z nazwy. Sam podtrzymywałem w niej nadzieję, jakbym wlewał wodę do pękniętego dzbana. Pół roku od diagnozy. Koniec.

### III

A teraz te wspomnienia, niedawne zdarzenia, a tak już odległe. Obraz pierwszy. Szliśmy wtedy przez park. Liście spadały z drzew, jakby każdy z nich był oddzielnym „kocham cię”. Pachniała jak herbata z miodem i imbirem. Ona. Plany na przyszłość, dom z ogrodem, trójka dzieci, pies. Coroczne wakacje. Potem wnuki, wspólna starość. Spokój dni. My.

Obraz drugi – rejs promem. Staliśmy przy relingu, wiatr wplątywał się w jej włosy. Mówiła, że kupimy sobie łódkę, taką małą, z białym żaglem i głupim imieniem wyrytym na czerwono po obu stro- nach. Ona niczym Kate Winslet ta piękna, lekka, powabna, ja Leonardo di Caprio, szalony, uroczo niebezpieczny. Słynna scena „lotu” na dzie- bie ogromnego statku. W tle subtelne „My Heart Will Go On” Celine Dion. Wszystko takie przecukierkowane, za dużo pudru. Za słodko, za banalnie.

#### IV

Winda ruszyła. Zaskrzypiała. Ruch w górę, ociężały potwór, ale niepowstrzymany. Otworzyłem oczy. Zdążyłem jeszcze zobaczyć zarys sylwetki przez mleczną szybę – kobietę, delikatną, z profilu znajomą aż do bólu.

Zareagowałem instynktownie – szybki bieg na górę, drzwi mieszkania zostawiłem otwarte, kapcie ledwo trzymały się stóp. Win- da była już piętro wyżej. Nerwowo wciskany przez kogoś wewnątrz zadziałał. Dobiegłem na szczyt Everestu. Ostatnie piętro smutno szklanego wieżowca. Jeszcze przez chwilę „posąg człowieka na posągu świata”<sup>1</sup>. I od razu koszący lot w dół.

Nie zdążyłem. Winda stała otwarta. W środku był tylko mężczyzna. Drzwi zaczęły się zamykać. I wtedy, przez ułamek sekundy, widziałem ją — obok niego. Albo wydawało mi się, że widziałem.

Rozglądałem się jeszcze przez chwilę, gorączkowo, jak dziecko, które zgubiło matkę w tłumie. Jak samotny pies, co zerwał się ze smyczy i wie, że teraz czeka go już tylko bezdomność.

#### V

Wróciłem do mieszkania, jak wraca się do celi po zbyt krót- kim spacerze. Drzwi zamknąłem z trzaskiem – jakby to coś zmieniało. Mosiężne. Ciężkie. Jak wieko trumny.

I wtedy coś we mnie pękło. Nie spektakularnie, nie z krzykiem. Cicho. Jakby ktoś wyłączył ostatnią lampkę, która tliła się gdzieś głęboko. Zamknął książkę. Wyłączył niespodziewanie radio. Przestałem wierzyć, że jeszcze coś się wydarzy w tej samotni wewnątrz mnie. Cała zewnętrzna reszta już nawet nie była obojętna. Po prostu nie była.

Zastłoniłem wizjer. Zdjąłem obrazy ze ścian. Pochowałem zdjęcia. Lustra najpierw zakleiliśmy, potem rozbiłem. Ostateczna utrata wizerunku. Okna zakryłem kotarami. Odłączyłem dzwonek. Rozwaliłem telefon. Wyrwałem domofon.

Usiadłem w fotelu. Tym samym co zawsze. Położyłem dłonie na podłokietnikach i spojrzałem przed siebie. Ściana. Biała. Gładka. Idealna do znikania.

Nie modliłem się. Nie prosiłem. Nie marzyłem. Po prostu byłem. Tak jak chciałem. Nie chciałem. Nie ważne.

Już nic się nie wydarzy. Będę czekał. Na Godota. Na śmierć. Ona wie, kiedy przyjść.

**Zuzanna Elektra Nowakowska**

## **Buty**

Stały w rogu pokoju, tuż koło drzwi. Delikatnie przykryte kurzem, wypalone słońcem wkradającym się do mieszkania przez pęknięte okienko. Brązowa skóra przemiękła wilgocią niezauważonych kałuż, zarysowała się przez upadki właściciela. Uszkodzenia przypominały o dniach, które wymagały zapomnienia. Podeszwa była miejscami wytarta. Buty nosiły ślady swojej historii, wszystkich przebytych ścieżek. Wiernie trzymały kształt stopy, nie narzekały na przetarcia niegdyś miękkiego podszycia. Szanowały czas, ilość kroków i spacerów, chociaż poddawały się ich wpływom niechętnie.

Noce spędzały na słuchaniu dźwięków gramofonu. Melodie wsiąkały w odklejone od ścian tapety. Właściciel przyglądał się raz butom, raz księżycowi. Za każdym razem siadał na tym samym, drewnianym krześle, przy pękniętej szybie okna. Palił fajkę. Wspominał, ale nie marzył. Nucił, ale nie mówił. Tkwił w miejscu, po drugiej stronie pokoju. Znoszony jak własne obuwie, przygaszony niczym lampa stojąca na stoliku obok, poddany jak tapety zwisające ze ścian. Czasem sypiał, czasem czekał w miejscu do rana.

Porankami buty czuły presję rozpychu, szarpnięcia naderwanych sznurowadeł. Słuchały trzeszczącej skóry, próbowały współpracować. Lubiły wycieczki, choć te z każdym tygodniem robiły się tylko krótsze. Zaczynały od poczty. Nigdy nie wracały z niej z czymś więcej. Chwilę stały przy okienku. Słuchały zapewnień o ciszy na drugiej stronie listu. Czasami zachodziły do piekarni. Okruszy przyklejały się do gumy podeszwy, aby zgubić się po kilku krokach. Potem wracały, starając się nie zapominać kierunku. Nogi właściciela coraz częściej myliły schody

i bramy. Nie potrafiły dostrzec, tym bardziej ominąć dziur i kałuż. Szorowały o zimny chodnik.

Czasami potykały się o próg. Bardziej szczerbiły, gubiły szwy i zdobywały nowe rysy. Były odkładane w to samo miejsce, w ten sam róg pokoju. Dokładnie obok dziecięcych, czarnych czóteńek na słupku, otulonych gęstą warstwą kurzu, przeplecionych pajęczyną. Wspominały przez moment nierówny rytm, z którym kiedyś razem uderzały o bruk. Wiedziały o ich obecności, ale nie potrafiły jej dostrzec. Przysłuchiwały się więc sygnałowi słuchawki telefonicznej, oczekującej na kontakt, który nigdy nie nadchodził. Stojącej na stole, zgaszonej lampie. Chłodnej, nie ogrzanej rozmową, choćby życiem. Otwartej w połowie książki z pożółkłymi kartkami, która wieczorami próbowała wypełnić pustkę historii. Buty czekały cierpliwie na noc, aby porankiem ponownie wyruszyć. Może dalej, może bliżej. Może w miejsca, które znają, może w te, po których przejdą się po raz pierwszy.

Któregoś ranka jednak nie poczuły szarpnięcia. Nie było rozpychu ani dźwięku skrzypnięcia skóry. Światło z pękniętego okna przesączało się łagodniej niż zwykle, rozlewało na drewnianej podłodze. Tego dnia nikt nie odciągnął ich od ściany, nie założył na zmęczone stopy. Czekały cierpliwie przez pierwsze minuty, które zamieniły się niespostrzeżenie w godziny. Za oknem słońce przeminęło, zebrały się chmury. Deszcz moczył ulice, uderzał o dach, przepuszczając wilgoć do środka.

Tej nocy dźwięki gramofonu nie tliły się pomiędzy dymem fajki. Nie podierały stopniowo odklejającej się tapety. Krzesło w świetle księżycy trwało w oczekiwaniu. Nikt nie przyglądał się butom. Nie wspominał, nie marzył. Nie nucił, nie mówił.

Dni zmieniły się w tygodnie równie szybko, jak wcześniej minuty w godziny. Kurz na butach gęstniał jak cisza w mieszkaniu. W końcu nawet słońce przestało je wypalać, księżyc nocami chował się za chmurami. Wilgoć z kałuż również wyparowała, skóra odzwyczała się

od swojego kształtu. Zgubiła gdzieś wspomnienie jak ma się układać, wyparła zapach chodnika.

Z czasem pojawiły się nowe dźwięki. Szelest szczura, drzwi objające się o futrynę zachęczone wiatrem. Echo odległego istnienia przedmiotów mieszało się z beznadzieją. Pustką, chłodem, brakiem. Wszystko było zbyt ciche, aby wydać się znajome. Zbyt nieruchome i stałe. Fajka leżąca na stole stygła w nieskończoność, puste siedzisko krzesła uwypukliło się przez brak ciężaru. Igła gramofonu zardzewiała, strony książki wyblakły. Buty czekały, poddając się melancholii.

Nie było już kroków, dla których mogłyby się naprężyć i wyprostować. Nie było drżących, pomarszczonych dłoni naciągających ostatkami sił naderwane sznurowadła. Nikt nie szorował ich czubkami o wyboje ulicy. Przemieniły się w pomnik utęsknienia. Przedmiot, który nie potrafił już pełnić swojej funkcji. Tak jak tapety oderwane od ścian i gramofon, który ostatni raz zaskrzypiał, gdy igła dotknęła płyty.

W końcu zrozumiały, że zostały. Nie jako narzędzie, nie jako ślad czy znak. Stały się dowodem. Milczącym świadkiem człowieka, który był zbyt zmęczony, aby wrócić i zbyt przezroczysty, aby zostać. Ich największą podróżą okazało się czekanie w rogu pokoju, do którego nikt już nie zaglądał.

W połowie listopada zamek się przekręcił. Do mieszkania weszła kobieta. Przeszła przez mieszkanie jak przez puste pole. Usiadła na krześle, które zapomniało jak trzymać równowagę. Przekartkowała w zamyśleniu książkę, nie zauważając, że kruszy jej strony. Przyjrzała się zgiętym w pół tapetom, pokrytemu kocem kurzu gramofonowi. Pękniętej szybie małego okienka i fajce, której zawartość nie zdążyła zostać dopalona do końca. Spróbowała włączyć lampkę. Żarówka nie rozgrzała ludzkiego ducha, nie rzuciła światła na pustkę, która zalegała w kątach pokoju jak cichy wyrzut sumienia. Zrobiło się chłodniej.

Kobieta spojrzała na buty, które przez moment pomyliły ją z kimś znajomym. Być może była to wina nieobcego błysku w oku. Być może chodziło o podobne ułożenie zmarszczek, rysy twarzy. Może dostrzegły w niej wspomnienie, nie marzenie. Wzięła je do ręki. Były lekkie. Za lekkie.

Wyrzuciła je do kontenera przy bramie. Razem z książką, poplamionym kubkiem. Gramofonem i fajką. Buty upadły na dno. Zostały przygniecione. Przesiękały zepsuciem, zużyciem. Zginęły pod warstwą porzuconych przedmiotów.

Jeszcze przez chwilę poczuły zapach chodnika, po którym nikt już nie kroczył.

**Mariusz Olejniczak**

# To stary dom

*„Samotność jest złudzeniem.*

*Myśli człowieka krążą zawsze koło innych ludzi*

*i łączą go z ich obcym losem, który na próżno stara się odepchnąć.”*

*Zofia Nałkowska – „Granica”*

To stary dom. Doskonale nadaje się do przechowywania starych ludzi. Zużytych, niepotrzebnych, zawadzających w codziennym życiu. Nasi bliscy odstawiają nas tutaj, jak na bocznicy kolejowej, kiedy staje się ich utrapieniem, kiedy przeszkadzamy w gonitwie za pieniądzem i karierą, albo kiedy wyjeżdżają na wymarzoną wycieczkę do ciepłych krajów. Mówimy o sobie: „osadzeni”, choć kiedyś, dawno temu, jeden z nas, Wesoły Grześ, który kazał nam wręcz, nie prosił – kazał! tak się do niego zwracać, stwierdził, że lepszym określeniem byłoby: „załoganci”. Wesoły Grześ miał jedno ulubione powiedzonko, co nie znaczy, że nie miał takich nieskończenie wiele, ale to trafiało zawsze w sedno. Kiedy któremuś z załogantów przyszło pożegnać się z tym światem, Wesoły Grześ oznajmiał: „Stara Załoga – dwa kroki od Boga”. Grzesia już z nami nie ma. Odszedł, spokojnie we śnie, z tym swoim szelmowskim uśmiechem na, poprzecinanej zmarszczkami, twarzy. Pewnie do ostatniej sekundy życia dumał nad swoją kolejną, trafiającą w punkt, rymowanką. Kto wie?

To stary dom. Przed wielkimi dwuskrzydłowymi drzwiami, strzegącymi naszej starości, resztek naszego życia, wmurowana jest kamienna tablica z wykutym napisem: „Bruno von Alzmark – Anno Domini 1831”. Przedstawia człowieka, który zlecił jego budowę i rok, kiedy to nastąpiło. Dom przez dziesięciolecia służył, jako wystawny

pałac rodzinie von Alzmark, aż dopadły go zawieruchy wojenne, zmiany ustrojów, rewolucje i kolejni, coraz to mniej wykształceni i mniej obyczajni, właściciele. Nim popadł w ruinę, jakiś wysoko postawiony dygnitarz, zapewne wielbiciel historii, sztuki i architektury, otoczył go opieką i ocalił od zapomnienia. Jakiś urzędnik odszukał dokumenty o zamożnej rodzinie. Ktoś inny bezskutecznie próbował odnaleźć żyjących potomków. Ministerstwo Kultury dofinansowało remont, staczającej się ku zapomnieniu, posiadłości. Po kolejnej zmianie ustroju, ktoś wpadł na pomysł, że dawny pałac, wraz z parkiem i przyjaźnie mrugającym do ludzi oczkiem wodnym, doskonale nadawać się będą na „Dom Spokojnej Starości”.

To stary dom. Ze schludnie, acz nowocześnie wykończonym wnętrzem; z szesnastoma pokojami, z których dwanaście mieści się na piętrze; z salonem, w którym regularnie jadamy, jak niegdysiejsi państwo von Alzmark, karmieni wykwinnością kuchni pani Justynki – najlepszej kuchmistrzynie pod słońcem; z salą telewizyjną, w której mamy możliwość wchodzić w utarczki słowne podczas oglądania tel-eturniejów, lub pograć w gry, nie zmuszające nas do wysiłku fizycznego – szachy, brydża, chińczyka czy domino; z salą rehabilitacyjną i jej władcą – panem Michałem, wiecznie uśmiechniętym i życzliwym do granic możliwości. Lecz głównym pomieszczeniem jest przepastny hall, objawiający się każdemu, kto przekroczy progi naszego starego domu, zapraszający do pozostania tu bez żalu za minionym życiem swym wykwinnym, przywodzącym na myśl dawne czasy, wystrojem.

To stary dom. Kochamy go z wzajemnością. Kochamy naszych opiekunów. Też z wzajemnością. W takim domu nie żal umierać. Nawet w samotności, kiedy nikt z byłych bliskich od dawna nas nie odwiedza. Bez żalu oddajemy temu domowi ostatni oddech.

Dziś jest sobota – dzień odwiedzin. Ci z nas, którzy mają to szczęście, niedługo po śniadaniu wychodzą do parku, zabrani na spacer przez córki, synów, czasem wnuczęta, lub przez przyjaciół. Stary dom uśmiecha się wtedy życzliwie, ciesząc się na myśl, że może na

moment odsapnąć od naszych trosk i rzucić z siebie, chociażby na chwilę, ciężar naszej starości. Bo ten stary dom też potrzebuje oddechu, przewietrzenia pokoi, zmycia podłóg, wytarcia kurzy, uzupełnienia potłuczonej zastawy, czy takiej błahostki, jak wsłuchanie się w szum liści lub wodzenie wzrokiem za przelatującą w pobliżu pszczołą.

Słyszę warkot silnika. Wydaje się znajomy. Podchodzę do okna, z którego rozpościera się widok na podjazd ukryty w cieniu szpaleru wielkich, obsypanych śnieżnobiałym kwieciem, kasztanowców. Odchylam firankę z nadzieją, że ujrzę znaną mi sylwetkę samochodu mojej wnuczki. Silnik gaśnie. Otwierają się tylne drzwi. Wysiadają młodzi pasażerowie i z wraskiem biegną w kierunku drzwi, strzeżonych przez wiekową kamienną tablicę. Nie rozpoznaję żadnego z nich. Prawdopodobnie przyjechali do naszego najnowszego „osadzonego” – załoganta Witolda. Nie jestem pewien, czy Witold także rozpozna kogoś ze swoich gości. Jest w ostatnim stadium alzheimera – obecnie zdarza mu się zapomnieć drogi do swojego pokoju. Na mnie kompletnie nie zwraca uwagi.

To stary dom. Ale drzwi do mojego pokoju otwierają się bez najmniejszego skrzypnięcia. Są nowe. Wychodzę na korytarz i powoli zbliżam się do schodów, które delikatnym, fantazyjnym łukiem, prowadzą do głównego hallu. Miękką wykładzina tłumi moje kroki. Mijam załogantkę Basię, staruszkę ze starannie upiętym kokiem siwych, niemalże białych, włosów. Prowadzi ożywioną dyskusję z jednym z naszych opiekunów. Kiwam głową na powitanie i schodzę na dół. Z zadowoleniem stwierdzam, że wciąż nie muszę się trzymać balustrady.

Wchodzę do sali telewizyjnej i zerkam w stronę ulubionego ze stołów. Osadzony Marcin, jeden z tych, z którym się zaprzyjaźniłem, siedzi, jak to przeważnie bywa, wpatrując się w szachownicę. W myślach rozwiązuje kolejną zagadkę. Podchodzę bliżej. Przyglądam się ustawieniu figur. Marcin miewa takie dni, że zamiera w tym miejscu na długie godziny. Dziś jest taki dzień – nawet nie odpowiada na

moje pozdrowienie. Postanawiam mu nie przeszkadzać. Jutro zagramy partyjkę, albo dwie.

Zbliżam się do pani Wandy. To najstarsza z załogantek. Mieszka tu od tak dawna, że nikt już nie pamięta, kiedy ją tu przywieziono. Siedzi w ulubionym fotelu kilka kroków od nowoczesnego telewizora. Ale nie śledzi obrazów migających na ekranie. Ma zamknięte oczy. Chyba śpi. Składam na jej dłoni pocałunek. Z należnym szacunkiem. Zasłużyła na takie traktowanie. Jest najstarsza z nas. Jest jak matka-założycielka.

Dochodzę do wniosku, że poczekam na gości w parku. Wychodzę przed stary dom. Ruszam przed siebie jedną z alejek. Radosny jazgot wróblích dziobów przywołuje lata dzieciństwa, kiedy, na niemal identycznym parkowym dukcie, przy podobnej, ptasiej kakofonii, zdzierałem kolana, ucząc się jazdy na rowerze.

Docieram do niewielkiego jeziora. Sześćioletni chłopiec rzuca kamyczkami do wody. Wygląda, jakby chciał puszczać kaczki. Jego dziadek, załogant Andrzej, cierpliwie tłumaczy technikę rzutu. Uśmiecham się pod nosem, patrząc, jak niezgrabnie wygina swe skostniałe ciało. Rodzina Andrzeja przywiozła ze sobą psa. Takiego, co uwielbia ruch i zaganianie owiec do zagrody. Border-collie wyczuwa moją obecność. Rusza w moją stronę. Przyjaźnie merda ogonem. Zatrzymuje się kilka kroków przede mną. Zaczyna szczekać. Mój spokojny, ciepły głos nie potrafi go uspokoić. Kucam. Powietrze zamiera. Nozdrza pieska uważnie obwąchują okolice mojej wyciągniętej dłoni. Słyszę głos wnuka Andrzeja, nawołujący pupila, a ten odwraca się i, w szalonym tempie, wraca do właściciela.

Próbuję chłonąć dzień. Ogrzać twarz promieniami wiosennego słońca. Poczuc zapach świeżej trawy i kwiatów, kwitnącej o tej porze roku, czereśni. Usłyszeć szum zieleniących się liści. Siadam na ławce i patrzę na pałac rodziny von Alzmark. To stary dom.

Czekam.

Rozmyślam.

Patrę.

Mija czas obiadu. Tarcza słońca skrywa się za zachodnim skrzydłem pałacu. Dochodzi mnie dźwięk chrzęstu opon na brukowanym podejździe. Zaciekawiony, wstaję z ławeczki i niespiesznie idę w tamtym kierunku. Wygląda na to, że przywieziono kolejnego staruszka. Ktoś, chyba córka, prowadzi go pod rękę. Ktoś, być może jej mąż, taszczy dwie ogromne walizy. Wchodzą do starego domu. Staruszek wygląda na dość dziarskiego, więc nasza pani dyrektor serdecznym gestem zaprasza całą trójkę do środka, a potem wchodzą po schodach na piętro. Widzę to wszystko, bo, chcąc przywitać się z nowym osadzonym, idę parę kroków za nimi. Widzę, jak kierują się w stronę prawego skrzydła. Myślę sobie, że będę miał nowego sąsiada, lecz ze zdumieniem stwierdzam, że otwierają drzwi pokoju numer siedemnaście. I zaczynam się niepokoić, bo przecież pokój numer siedemnaście należy do mnie już od dwunastu lat i nie wyobrażam sobie, żebym miał go z kimkolwiek dzielić. Nawet z tak dziarsko i sympatycznie wyglądającym staruszkiem.

Zatrzymują się niemal w progu. I wtedy słyszę fragment rozmowy, kiedy pani Joasia, nasza pani dyrektor, oznajmia gościom, że pokój jest wolny od niemal pół roku, że poprzedni lokator – pan Elwin, zmarł zaledwie dzień po tym, jak odwiedziła go wnuczka z prawnikiem, po których to odwiedzinach był bardzo roztrzęsiony, nie mógł się uspokoić, a gdy w końcu zasnął, to już na dobre – „sen wieczny i już jesteś bezpieczny” – tak mawiał Wesoły Grześ.

Próbuję sobie przypomnieć tamten dzień, te ostatnie odwiedzinny. Próbuję sobie przypomnieć twarz tej, która przyniosła smutne wieści. Próbuję sobie przypomnieć, jak położyłem się i jak wydałem ostatnie tchnienie i jak serce zatrzymało się, by już nigdy nie zastukać w ciele, które o poranku następnego dnia wynoszono z pokoju numer siedemnaście.

I patrzę tak na sympatycznego staruszka. I zastanawiam się, czy będzie chciał się ze mną zaprzyjaźnić. I zastanawiam się, czy może jednak odejść stąd w końcu na zawsze.

Boję się jednak samotności. Tutaj wciąż jest pani Wanda – nasza nestorka; jest szachista Marcin; nieznajomy Witold i Andrzej – specjalista od puszczania kaczek; pani Justynka o zapachu biszkoptowego ciasta i pan Michał z mięśniami jak stal i uśmiechem, jak bobas.

Nie chcę opuszczać tego starego domu. Kocham go. Jeszcze chwilę tu zostanę. Najwyżej przeniosę się na strych lub do spiżarni. Ale zostanę. Jeszcze troszkę. Może nowy osadzony niebawem zwolni pokój numer siedemnaście?

To stary dom. Dobrze się tu czuję.

Jeszcze chwilę tu zostanę. Tutaj, mimo wszystko, nie jestem sam.

**Anna Oliynyk**

# **Opowieść klucza**

Zamki i kłódki, szuflady i drzwi, zamknięcia, otwarcia, wejścia i wyjścia: to wszystko pozostaje w obrębie mego fachu, w polu mego widzenia.

Wprowadzili się tutaj wczesną wiosną, a w zimie przyszła na świat ich jedyna córka. Dzieciństwo miała bezpieczne, niczym przyjazny kokon. Otoczona uwagą, kochana i akceptowana przyoblekała się w siły, które na późniejszych etapach miały się okazać bardzo pożyteczne. Nagromadziła zapasy ciepła, którymi mogła karmić siebie i innych jeszcze przez długie lata. Zdobyła też coś na kształt wewnętrznej osi, o którą mogła się oprzeć w chwilach zagrożenia i wtedy gdy dopadało ją egzystencjalne wątplenie. Dom był stabilny, domownicy obdarzali siebie wzajemnym szacunkiem, nikt bez powodu nie podnosił głosu tylko, że wszyscy zbyt dużo i często milczeli i to była ich największa wada. Mimo uważności z jaką zwracali się ku sobie, coś równocześnie odsuwało ich od siebie, czyniąc z każdego z nich osobny, dryfujący w przestworzach meteor.

A jednak mimo wszystko dom złożył u zarania pewną obietnicę, której potem nie można było spełnić. Obietnicę bezwarunkowej miłości, kompletnej i niepodważalnej, która w dorosłym życiu, pomiędzy „obcymi” sobie ludźmi się nie zdarza. Zawiera w sobie tyle troski, poświęcenia, zaangażowania i bezinteresowności, że jest całkowicie niedopasowana do parametrów tego świata. Dar złożony u jej stóp gdy jeszcze nie wiedziała, że go przyjmuje, stał się przyczyną jej dojrzałego niespełnienia, przedśmionkiem pustki, którą od momentu pożegnania dzieciństwa nosiła w sobie. Rozumiem to bardzo dobrze, gdyż moje ucho od klucza sprawia, że duży ułamek mnie to po prostu powietrze,

i jeszcze wewnątrz wewnątrz metalowego pancerza, w którym hula wiatr daje mi przedsmak tego co musiała przeżywać. Czasem myślę nawet po co mi taka pustka, nikomu niepotrzebna, niezauważana przez nikogo, tylko przypomina mi, że jestem wydrążony, że skrywam korytarze, które być może donikąd nie prowadzą.

Już we wczesnych latach wokół Zuzanny, zaczęła się owijać pajęczna nić samotności, tkając cienkie sukno, które miało ją później odgradzać od reszty świata. Zwłaszcza gdy była nastolatką, poczuła, że wraz z budzeniem się świadomości, rodzi się w niej swoista melancholia, którą tak łatwo z samotnością pomylić. Od tego momentu ta dwoistość zawsze jej towarzyszyła. Dlaczego zdobycie wewnętrznej przestrzeni wypełnionej przemyśleniami i odczuciami było przyczyną smutku? Bo im bardziej bogata stawała się od środka, tym bardziej ubożała na zewnątrz, tym bardziej przez innych była niezrozumiana.

Uciekała samotnie do lasu, zaczytując się poezją Leśmiana, pogrążona w jakiejś nabożnej egzaltacji. Wzdrygała się na każdy przypadkowy odgłos. Gdy mały kos przeskoczył z miejsca na miejsce odbierała to jak gruchot łamanych gałązek. Jeździła na plażę. Kładła mnie sobie na dłoni i mówiła do mnie. Wpatrywała się w morze, falowała wraz z nim. Czasem wydawało jej się, że jest trochę lepsza od swoich rówieśników, czasami z tego samego powodu trochę gorsza. Chłonęła rzeczywistość wszystkimi zmysłami. Nurkowała w słowach gdy otwierała swój notes z samotną latarnią na okładce. To tam po raz pierwszy odrysowała mój kształt. Potem dla zabawy, nudząc się na lekcjach, domalowywała mi ośle uszy i coś na wzór rąk. Zawsze trochę roztargniona, gubiła się gdzieś pośród codzienności. Wierząc, że ma w sobie coś, co jej to wynagrodzi.

Zgadnicie skąd o tym wszystkim wiem? Byłem jej pierwszym powiernikiem. To mnie nosiła na szyi wykuwając swoją niezależność. Niezależność, która też potrafi uzurpować samotność. To była cena, którą za nią płaciła..

Tuliła mnie w swojej dłoni, łagodnie pocierała mą chropowatą powierzchnię, aż do osiągnięcia idealnej gładzi. Byłem teraz oszlifowanym metalem, to Ona mnie stworzyła. Wdmuchiwała w moje ucho niewidzialną tęsknotę za zjednoczeniem z drugą istotą, tym samym czyniąc mnie wyjątkowym – wybrańcem pośród kluczy. Myślę, że bardzo bliska więź z matką nauczyła ją samą tęsknić za relacją, która usuwa samotność poza nawias.

*Byliśmy tutaj, byliśmy tak razem,  
że nawet nitka pajęczyny  
nie weszła pomiędzy nas.*

*(Lenka Kuhar Danheloua)*

Oparta na całkowitej szczerości i zaufaniu, na symbiozie, w której jedna roślina czerpie z drugiej soki z tą samą odwzajemnioną intensywnością.

A jednak podziw, który wzbudzał w niej ojciec komplikował ten zbyt pochopnie, naszkicowany przeze mnie model. Intelktualista, który pochłaniał książki w niedozwolonych ilościach. Uważny obserwator, a równocześnie nieostrożny wizjoner. W każdej ludzkiej relacji dostrzegał pęknięcie. Synonimem jego spojrzenia na świat było pęknięte lustro, które przekonywało go o tym jak wszystko jest niedoskonałe i niepełne. Wpatrywał się w to lustro przecięte bruzdą jak w tylko sobie rozumiały alfabet. Przypominał Witkacego z fotograficznego autoportretu z 1914 roku. Mężczyzna, którego twarz żłobi głęboka rysa. A może to tylko rodzaj refleksu, który pada na niego od strony przepołowionego lustra. Nie dał się schwytać żadnej z kobiet, nie dał się pochłonąć przez drugą ludzką istotę gdyż cenił ponad wszystko wolność umysłu i wolność wolnej woli. Był samotnikiem, gustującym w melancholii, która przydarza się jesienią lecz nie przechodzi z wiosną. Ponieważ w wiosnie dopatruje się synonimu zdrady: Nie dla mnie jest ona ale dla kogoś innego. Brawura rozkwitu przytłacza mnie,

mam wrażenie, że nie umiem jej sprostać, nie umiem jej dorównać, i nie umiem w nią uwierzyć gdyż wabi pięknem, które ma się rozpuścić jak bańka iluzji, zbyt płocha i efemeryczna.

Ale potem te przesady i te kulminacje, te spiętrzenia i te ekstazy wstępują w kwitnienie, wchodzą całe w bujanie chłodnego listowia, w wzburzone nocą wiosenne ogrody i szum je pochłania. Tak wiosny sprzeniewierzają się sobie – jedna za drugą, pogrążone w zdyszany szelest kwitnących parków, w ich wezbrania i przypiływy – zapominają o swych przysięgach, gubią liść po liściu ze swego testamentu. (Bruno Schulz)

Oprócz goryczy związanej z obserwacją świata, samotność stała się dla niego komponentem spełnienia. Zyskała dziwnie pozytywną energię. To dzięki niej można było odwiedzać wewnętrzne światy, te własne i te spreparowane przez autorów książek. To dzięki niej można było podążać przez nikogo nienarzuconą ścieżką, nie trwonić sił na kompromisy, nie tracić siebie. Mieć dostęp do całego spektrum barw, które oferuje wnikliwe spojrzenie skierowane do wewnątrz a także ku światu. Spojrzenie rejestrujące wszystkie odcienie z równą wyrazistością.

*In solitude we give passionate attention to our lives, to our memories to the details around us.*

*For now she need not think of anybody. She could be herself by herself. And that was what now she often felt a need of – to think, well not even to think. To be silent, to be alone.*

*(Virginia Woolf)*

Ścisnęła mnie w dłoni gdyż byłem jej powiernikiem, droższym od przyjaciółki, droższym od przyjaciela. Dlaczego? Bo byłem tylko kluczem, byłem przedłużeniem jej własnej jaźni, a równocześnie odrębnym bytem, a nawet w połowie niebytem, gdyż po trochu byłem

przecież martwy. Darzyła mnie szczególnym uczuciem, choć nie odwzajemniałem jej miłości, nie byłem do niej stworzony, nie zostałem zaprojektowany na ten jedyny i niepowtarzalny sposób. Być może jej wybór padał zawsze na to, co nieosiągalne, co niemożliwe do zrealizowania. Czy kochała wyzwania, czy pogoń za Nieujarzmionym? Podobnie jak mężczyźni, którzy zawsze się jej wymykali. Obdarowywała ich nadmiarem uczucia, wobec którego czuli się zdezorientowani i zażenowani. Pozostawiali nieuchwytni...

W przeciwieństwie do mnie. To mnie mogła mocno trzymać, lub trzymać się mnie, lub pozwolić żebym to ja ją trzymał. Otwierałem dla niej drzwi kolejnych mieszkań: małych kawalerek, zawsze w centrum miasta. Bo gdy mieszkasz samotnie brak towarzystwa rekompensuje Ci tłum na ulicach. Obojętny, bo obojętny, anonimowy bo anonimowy, który gdy go mijasz wcale Cię nie zauważa. A jednak cieszysz się rytmem powielanych kroków, miastem, popadającym w rezonans odgłosów, które powielają się w nieskończoność, wzajemnie się naśladują i naświetlają tworząc dialogi i monologi, unosząc pod niebiosa gwar przypadkowych i zamierzonych rozmów.

Cieszysz się swoją rzekomą przynależnością, a nawet swoją samotnością przeglądając się w ekranach sklepowych wystaw jak benjaminowski flaneur, próbując rozszyfrować znaki przeznaczone w twoim mniemaniu wyłącznie dla Ciebie, w postaci sklepowych szyldów, reklam i napisów na murach. Po prostu czytasz miasto jak książkę. Zresztą samotny naprawdę stajesz się dopiero wtedy kiedy wchodzisz do pustego mieszkania i nie odpowiada Ci żaden głos, nikt cię nie wita, nikt się nie uśmiecha na Twój widok. Pustka, która Cię otacza jest jedną z tych, najbardziej namacalnych, najbardziej bolesnych, niemal organicznych. Ta pustka zwyczajnie Cię pożera i przeraża. Uderzasz wtedy o dno rzeczywistości, jak sądzisz nieusprawiedliwionej i w żaden sposób przez Ciebie nie zasłużonej. Odwracasz się plecami do reszty świata.

Wiem coś o tym, bo moim przeznaczeniem z kolei jest nurzać się w stalowym wnętrzu, które nie reaguje jak ciepło jej ręki, nie przyjmuje mnie, nie cieszy się na moje spotkanie, bo jest tak samo martwe jak ja. Muszę powiedzieć o zgrozo... tylko, że ja też jestem trochę inny, typ outsidera wśród kluczy. Dzięki czułości jej dłoni, przeobraziłem się w coś o szlachetniejszym powołaniu. To, co dostałem od niej uzbroiło mnie przeciwko obojętności świata, uczyniło mnie mocnym i nieugiętym, dobrze zahartowanym. Wiem, że poza lodowatym chłodem przeciętnego zamka jest tu na Ziemi coś jeszcze. A nawet całe niebo gorącej miękkości z którą stykam się w wyjątkowych chwilach, ale to wystarczy bym poczuł się pewny, że takowa istnieje. I budzę się zawsze ze snu gdy jej ręka wyłuskuje mnie z dna przepastnej torebki, lub ewentualnie z kieszeni zimowego płaszcza. Dzięki niej nauczyłem się tęsknić. Wiem, że to mało... Ale może w przypadku klucza to aż nadto? Na pewno jest to jakowyś postęp, a w moim skromnym przypadku jest to może nawet fundamentalny krok na drodze do czegoś większego.

Przez chwilę była naprawdę szczęśliwa, przez chwilę miała dom wypełniony po brzegi żywymi głosami. Przez chwilę zapomniała nawet czym jest samotność. Ale z jakiegoś powodu.... (wtedy odłożyła mnie na jakiś czas do małej szkatułki). Nie miałem jej tego za złe bo cóż mogłem jej ofiarować. Namiastkę „kogoś”, krótkotrwałe zastępstwo.

Miłość odchodzi i przychodzi, otwiera drzwi, zamyka... Ale nawet gdy jesteśmy z kimś blisko, rzadko się zdarza, żeby zostały spełnione warunki prawdziwej bliskości. Samotność wciska się przez niedomknięte drzwi. Może jest tęsknotą nadmiernie rozbudzonych zmysłów, a może przestrzenią, którą musisz zachować by nie zatracić się w drugim jestestwie. Za własną odrębność trzeba zapłacić cenę. Już taki los, że kolebiemy się pomiędzy dwoma wyspami, odrębnością i zespoleniem, nasz cel tkwi właśnie w tym kołysaniu, w tej kołysce,

do której prowadzi głos naszej matki, zakrywając i odsłaniając szlak pośród gęstej ciemności.

\*\*\*

Nie lubiłem gdy ścisnęła mnie zbyt mocno, dostawałem wtedy przejściowych duszności. To taka forma samoobrony...

Od jakiegoś czasu otwierała mną drzwi na strych. Strych stał się jej drugim domem. To tutaj suszyła ubrania, jak za dawnych czasów. Przestrzeń wypełniała się zapachem proszku a przez okno w dachu wpadało chłodne i rześkie powietrze. Panujący półmrok filtrowało ostudzone światło. Choćbyśmy chcieli ją przechytryć, samotność zawsze pozostanie przy nas niezależnie od życiowych konfiguracji. Potrafimy być samotni gdy przytulamy się do kogoś w noc triumfującej, księżycowej pełni albo kiedy uprawiamy seks, ale mimo wszystko ta samotność różni się bardzo od tej wywołującej rozpacz izolacji. Samotność, której nie wybieramy a na którą jesteśmy skazani, we wnętrzu czterech pustych ścian, z przyczyn na poły obiektywnych.

Tę samotność, wpisana w międzyludzkie relacje oraz samotność jako odczucie metafizycznej melancholii pozostaje nam zaakceptować, i uznać, że jest naturalną składową ludzkiej kondycji na tym, równie jak my sami, osieroconym świecie, gdzie planeta zamieszkała przez ludzi orbituje gdzieś na rubieżach kosmosu cierpiącego na bezdech. Pozostaje tylko twórczo ją wykorzystać, nadać jej kształt.

I tu okazuje się, że Zuzanna stała się specjalistką od kształtu, ekspresyjną twórczynią szklanych rzeźb.

Tworzyła miniaturowe figurki powstałe z niebieskich odłamków szkła, lampy o szklanych abażurach (troszkę podobnych do tych Tiffany), ruchome instalacje zaplecione ze szklanych paciorków, które można było zawiesić na oknie, lub na balkonie gdzie wydawały z siebie dźwięk za poruszeniem wiatru. A jeszcze łapacze snów na wzór szamańskich oryginałów, chroniące przed nocą i smutnym, ciągnącym

się za nią cieniem – płaszczem zdeformowanych przez lęk marzeń sen-  
nych.

Odkrywała, że samotność jest wręcz warunkiem tworzenia, przynajmniej w jej przypadku. Stała się mistrzem szklanych cudeniek. Jej rzeźby wyrastały z poczucia braku, czerpały z niego i do niego nawiązywały. Największą zaletą jej prac było łączenie przestrzeni „pomiędzy” nie wypełnionej żadną materią, z właściwym szkłem. Jednym słowem kontrast pomiędzy pustką zalegającą wnęki a kształtem, tak samo ważnym jak otulające go powietrze. A może nawet nie chodziło tu o kontrast lecz bardziej o wzajemne dopełnienie. Z czasem nauczyła się dosięgać w swych dziełach jakiejś formy pradawnej harmonii.

Samotność wracała do niej pod postacią wnek, szczelin, i zagłębień, i pod postacią ciszy, które przybierała wiele postaci, z których niektóre udało się nawet polubić.

A co do mnie, ech, cóż ja? Moja historia tutaj się nie kończy. Będę otwierał kolejne drzwi, kolejne bramy, będę pasował i nie pasował, będę próbował, walczył, wątpił, lecz nigdy się nie poddam się obezwładniającej melancholii, jak długo będę pozostawać w zasięgu czyjeś ręki, tak długo jak będę do kogoś należeć. Aż może w końcu, któregoś dnia pewne drzwi pozostawię otwarte, na zawsze....

Krzysztof Tomasz Rapcia

# Ciupaga i łzy

Kap ... kap. Łzy popłynęły, jak w starej piosence kapeli Pod Budą. Mamusia uwielbiała ten zespół. Tato wolał Irenę Santor. To też był powód do kłótni. Jeden z wielu. Jak to mówią, dla chcącego nic trudnego. Potrafili drzeć koty z byle okazji. Taki talent chyba. Co to w ogóle znaczy, drzeć koty? Kto to wymyślił? Marianek, choć chłopcem był bystrym i nad wiek czytany, tego jednego nie wiedział. No może nie wiedział jeszcze kilku innych rzeczy, ale te koty siedziały mu w głowie. Gdyby teraz nie był smutny, pewnie zaśmiałyby się z tego. No jak koty mogą siedzieć w głowie! Jak?

Kap, kap. Dwie łzy spłynęły po policzkach. Tylko dwie, bo przecież faceci nie płaczą, a Marianek miał już dziesięć lat. Nie chciał znowu usłyszeć tego, co niedawno powiedział mu tata.

– Jesteś facet czy baba, Marianek?

Wiedział, że jest chłopcem, ale przecież chłopiec to prawie mężczyzna, czyli jak mawiał tato – facet. Nie chciał być babą, bo to kojarzyło mu się z babcią. Ojej, kochał babcię. Czasem myślał, że kocha ją mocniej niż mamę i tatę. Wstydził się tych myśli, bo przecież tak nie można. Rodziców kochać trzeba. Zawsze mocno i zawsze bardziej. Wiadomo. Nie chciał być babą przez zmarszczki. Babcia miała ich dużo. Mariankowi wydawało się, że tylko z tych zmarszczek jest zbudowana. Dlatego choć babcię kochał, babą być nie chciał.

– Facet, tato – tak odpowiedział wtedy ojcu.

Kap, kap. Dwie łzy oderwały się od policzków i spadły na stronę „Kalejdoskopu techniki”. Utrzymywały się przez chwilę na powierzchni, zniekształcając litery. Nadały im fantazyjne kształty, które choć pobudzały wyobraźnię, to przeszkadzały w czytaniu. Po kilku sekun-

dach chciwy papier, spił dziecięce łyż, lecz litery nie odzyskały dawnego kształtu. Kartka pomarszczyła się jak twarz babci właśnie i Marianek znów sobie przypomniał, że babą być nie chce.

Jak zawsze był sam. Siedział w dużym pokoju przy stole. Właśnie tam rozłożył nowy numer „Kalejdoskopu” i zaczął czytać z wypiekami na twarzy. Uwielbiał poznawać nowinki techniczne. Z kiosku wracał podekscytowany, że już zaraz zagłębi się w świat pełen cudownych wynalazków. Może to właśnie z tej radości? A może z nieświadomionej samotności i uczucia pustki? Być może dlatego nie poszedł do swojego pokoju, tylko rozsiadł się przy rodzinnym stole. Tak, Marianek miał własny pokój. Rodzinie się powodziło. Co z tego, kiedy dziś nie poszedł do siebie i teraz musiał udawać faceta. Przecież nie chciał być babą.

Do bloku leciał tak, jakby u ramion wyrosły mu niewidzialne skrzydła. Euforia tak działa. Stopy nie dotykają ziemi, a człowiek pędzi przed siebie jak wichur. Może dlatego nie zwrócił uwagi, że coś jest bardzo nie tak.

Marianek mieszkał na parterze. Za ledwie kilka schodków, żeby skryć się w mieszkaniu i pogrążyć w lekturze. O te schodki też darli koty. Mama i tata Marianka, oczywiście. Tak po prawdzie, to mamusia wierciła ojcu dziurę w brzuchu. Gdy Marianek usłyszał o tym pierwszy raz, bardzo się wystraszył. Jak żyć z taką dziurą? Rozpłakał się wtedy i chciał przytulić tatusia. Pocieszyć i jakoś tę dziurę załatać.

– Nie bądź baba – usłyszał nie wiadomo, który to już raz i chęć łatania dziury przeszła.

Wolał więc myśleć, że rodzice drą koty o te schody. To nawet pasowało, bo w drugą stronę też było kilka schodków. Na dół znaczy się. Kilka schodków do piwnicy, a w niej właśnie koty. Nawet nie trzeba było ich drzeć, bo ciemną nocą same darły się jak opętane. Marianek nie do końca wiedział, co to – opętane, ale chyba to było złe. Babcia tak mówiła jak przyjeżdżała w gości i spać przez koty nie mogła. Znak

krzyża zawsze robiła i Marianek słyszał jak mówi – że drą się te koty jak opętane.

Fajnie wtedy było, jak babcia przyjeżdżała, bo przecież chłopiec babcię bardzo kochał. I samotności robiło się tak trochę mniej. Jednak wiadomo jak jest. Wszystko co dobre, szybko się kończy. Czy to czekolada, czy delicje z Wedla, które Marianek kochał nie mniej niż babcię, czy wreszcie wizyta pomarszczonej staruszki.

– Na długo mama przyjechała? – tak zawsze witał tata babcię, a ta niezmiennie odpowiadała:

– Dopóki się wam kochani nie znudzę – co zawsze dziwiło Marianka, bo babcia szybko wracała do siebie, a przecież jemu nigdy się nie nudziła. Dorosłych trudno było zrozumieć.

Czy o darcie kotów chodziło, czy o wiercenie dziury w brzuchu, Marianek wiedział o co to całe zamieszanie. Mamusia nie raz krzyczała – cholera jasna, jak dziady jakieś na parterze mieszkamy, ani tu balkonu nie ma, a z piwnicy smród leci i zimno od schodów. Potem ta lista skarg mocno się wydłużyła, a na jej czele zagościł BRUD. Mamusia bała się brudu, a jeszcze bardziej bał się go Marianek, bo przez niego nieraz dostał po siedzeniu, a i w buzię mamusia potrafiła przyłożyć, jak miała gorszy dzień. Tak tata mówił – gorszy dzień – i Marianek zapamiętał. Zapamiętał też, że brudu do domu wносить nie wolno, a dokładne wycieranie butów to ważny obowiązek. Wtedy ani pupa, ani buzia nie piekły, no chyba że mamusia miała gorszy dzień z innego powodu.

Ten brud to też był powód mariankowej samotności, bo koledzy przestali przychodzić, gdy każdy po kolei wysłuchał upomnień mamusi. Ostatnim był chyba Radek. Ten wytrzymał najdłużej. Gdy pewnego dnia mama Marianka zapytała syna w obecności kolegi, czy u siebie w domu też chodzi w butach, chłopak zbaraniał. Dopiero następnego dnia w szkole powiedział Mariankowi:

– Powiedz mamie, że u siebie w domu też chodzę w butach – i więcej Marianka już nie odwiedził.

Walka z brudem do łatwych nie należała. Aby brud pokonać, należało wytrzeć nogi o metalową kratkę przed drzwiami do schodowej klatki, potem wycierało się buty o wycieraczkę na dole schodów i wreszcie było z górki. To znaczy pod górkę, bo trzeba było wejść te parę schodków, ale zostawała już tylko jedna przeszkoda. Wycieraczka pod drzwiami do domu. Trochę szurania i brud był pokonany. Marianek mógł z czystym sumieniem przekroczyć próg mieszkania.

Łatwo się opowiada, prawda? Pod blokiem było jednak naprawdę łatwo. Kto by miał siłę i ochotę wyjmować metalową kratkę? Tylko jaki głupi chyba. Gorzej było z wycieraczką przed schodami. Ta lubiła znikać często, a nowa pojawiała się niechętnie. Trzeba wtedy zmienić plan walki z brudem i więcej czasu spędzić pod własnymi drzwiami. Tylko co, jeśli się nie da?

Euforyczny pęd niósł Marianka spod samego kiosku i wydawać się mogło, że chłopiec butów zbyt nie ubrudził. Przyzwyczajenie jednak jest drugą naturą człowieka i choć Marianek słów tych zupełnie nie rozumiał, wiedział, że o pewnych rzeczach zapominać jest niebezpiecznie. Głód lektury ulubionego pisma był tak silny, że nogi o kratkę wytarł niestarannie.

– Nadrobię później – pomyślał szybko, ale już w środku skrzywił się widząc, że wycieraczka spod schodów znów stała się komuś potrzebna.

Czekało go więc długie wycieranie butów pod drzwiami do mieszkania. Tak przynajmniej myślał krótko, kiedy szybko pokonał kilka schodków. Zrobił jeszcze jeden niepewny krok i stanął zdumiony, pełen złych przeczuć. Ich wycieraczka również zniknęła.

Ojciec miał wiele powiedzonek, które pasowałyby mniej lub więcej do tej sytuacji.

– Facet działa, baba płacze – to jedno z nich – prawdziwy facet jest przygotowany na wszystko – brzmiało inne.

Marianek, który babą być nie chciał, szybko przeszedł do działania. Buty wytarł dokładnie na wycieraczcze sąsiadów i już po chwili był w domu. Sam. Jak zawsze. Tylko on i ukochany „Kalejdoskop techniki”.

Wiadomo, że nic nie trwa wiecznie. Mariankowa sielanka z ukochaną gazetką również. Jej koniec zwiastują głosy, które tuż za drzwiami dudnią po ojcowemu i piszczą złością mamusi. Chłopiec przerywa lekturę i złękniony ogląda się za siebie. Rodzice jeszcze się hamują. Coludziepowiedzą trzyma ich w mocnym uścisku. Marianek jednak wie, że to skończy się już za chwilę. Głosy przeniosą się do środka i wtedy dopiero zacznie się prawdziwe darcie kotów.

Stało się. Samotność przepadła i jak zaraz miało się okazać, można za nią zatęsknić. O czytaniu nie mogło być mowy. Marianek przegapił szansę i utkwiał w dużym pokoju, tuż obok burzy, w której dwie chmury walczą o swoją rację. Jedna jest jak ogień, co płonie silną potrzebą wypalenia brudu, a wycieraczka urasta tu do rangi cudownej broni. Wycieraczka musi być już, zaraz, natychmiast i cel mamusi jest tylko jeden – szybkie zakupy w pobliskim sklepie Społem.

Druga chmura jest wodą, co stara się zgasić zapal mamusi i tatowym głosem opowiada o bajkowych drzewach, na których ponoć rosną pieniądze. Marianek nie wierzy w takie drzewa i szybko łapie, że ojciec też nie. Dużo w tej kłótni o Bogu, co to nie wiadomo za co pokarał mamusię, o przestrodach, bo ktoś wiedział, że tak właśnie będzie, o podłej norze, w której nie da się żyć i o węzach mieszkających w kieszeni. Marianek boi się węży i nie wie skąd by one miały znaleźć się w kieszeni. Może z tej nory, o której krzyczała mamusia? Nim znajdzie odpowiedź na węzowe pytanie, drzwi trzaskają podkreślając krzyk ojca – że zaraz jej przyniesie tę wycieraczkę, a słowo jakim wycieraczkę nazywa, przywołuje rumieńce na mariankowej buzi.

Mamusia siada w przedpokoju i nie wydaje już żadnych dźwięków. Czeki spokojnie, ale ten spokój jest dla Mariana jak warczący pies, który dawno temu go ugryzł. Chłopiec odpycha wspomnienie zębów wbijanych w łydkę, bo czuje, że kiedy ojciec wróci, burza rozpęta się na dobre. Choć mama siedzi tuż obok, to Marianek czuje jakby jej nie było. A może tego właśnie pragnie? Samotności okupio-

nej zniknięciem tych, co kochać nie potrafią? Łzy nie znajdują jeszcze drogi do mariankowych oczu i póki co, można wciąż pozostać niebabą.

Ojciec wraca szybko. Za szybko jak na powrót z pobliskiego sklepu. Wściekłość mamy ma dużo znaków zapytania, bo chce wiedzieć skąd ta wycieraczka i komu ją ten skąpiec ukradł. Ledwie kilka sekund zajmuje chłopcu zrozumienie, kto jest tajemniczym skąpcem i niewiele dłużej, kto jest durną babą, co poleciała gdzieś z ich wycieraczką.

W mieszkaniu zapada spokój, ale jest jakiś inny niż wcześniej i mniej cichy, bo ojciec coś tam do siebie mamrocze i chodzi niespokojnie po korytarzu. Przypomina synkowi byka, może z tego mamrotania o głupich krowach, co się Mariankowi bardzo nie podoba, bo lubi krowy za ich spokój i piękne oczy o długich rzęsach.

Marianek wciąż siedzi przy stole i stara się udawać, że go tu nie ma. Zatracić w tej swojej samotni i sprawić, że nikt go nie odnajdzie. O czytaniu mowy być nie może. Siedzi pochylony nad „Kalejdoskopem”, ale tylko udaje, zerkając czasem na korytarz. Małe dłonie leżą równo na stole i szybko zaczynają się pocić, gdy ojciec wchodzi do pokoju syna. Pot wsiąka w szydełkowy obrus, a mariankowe myśli coraz bardziej są niespokojne.

– Po co tam wszedł? Szuka mnie? Nie widzi gdzie jestem? – Pytania przelatują przez głowę chłopca tak szybko, że nie można znaleźć odpowiedzi.

Ta zresztą nie jest potrzebna, bo tata wraca na korytarz. To co trzyma w ręku, otwiera usta Marianka w idealny okrąg zdumienia, który szybko przechodzi w strach. Chłopiec nie rozumie, po co ojcu ciupaga, którą Marianek schował głęboko w szafie i nie widział jej od dwóch lat, bo przyciągała tylko złe wspomnienia.

Ciupaga jak to ciupaga. Nigdy się Mariankowi nie podobała. Ojciec kazał coś wybrać na straganie, to wskazał przed siebie i padło na ciupagę. Rabka 1981, wyrył ktoś w drewnie i przez ten napis Marianek nie mógł na ciupagę patrzeć i zamknął ją w szafie. Złe wspom-

nienie. Najgorsze chyba jakie miał w niezbyt długim życiu. Wyjazd do sanatorium i dwa miesiące spędzone w Rabce, wśród obcych i z pamięcią tatowych oczu, pełnych rozczarowania. To wtedy Marianek był najbliższym baby, bo przecież prawdziwy facet nigdy nie choruje.

Tęsknił wtedy. Nawet za tym spojrzeniem ojca, bo chociaż złe, to jednak bliskie i dobrze mu znane. Tęsknił za mamą, a pupa i buzia zdawały się nie pamiętać, że często piekły z byle powodu. Och, w sanatorium szybko mu przypomniano ten aspekt rodzinnego życia. Lanie dostawał regularnie i nie zawsze rozumiał dlaczego. Tak jak nie wiedział, czemu znowu klęczy w kącie a rączki mdleją, bo nie mogą już dłużej wytrzymać, wyciągnięte wysoko do góry.

Tęsknił tak bardzo, że nawet nieznaną mu ciotką zmieniał się w kogoś ukochanego i trzeba było siły trzech pielęgniarek, by oderwać go podczas pożegnania i wrzucić do bezdennej studni samotności. Jeszcze więcej klęczenia w kącie i łez wylewanych po zgaszeniu świateł. Baba, baba, baba – huczało w małej główce, a dłonie zaciśnięte mocno tu i teraz, zgniatały bezwiednie materiał szydełkowego obrusu.

Głośny trzask ściągnął Marianka z powrotem.

Wściekły byk ryczał, a z nozdrzy buchały mu kłęby dymu. Przynajmniej tak to sobie Marianek wyobrażał, bo bał się zerkać w stronę przedpokoju. Słuchał wystraszony coraz głośniejszych krzyków, a łzy już zapowiadały Mariankowi, że zaraz zrobią z niego babę, ale jeszcze nie teraz. Marianek wciąż był facetem. Dalej potrafił udawać, że chociaż tu jest, to jakby go nie było.

Kiedy durnababogdziewyniosłaśwycieraczkę, wyrzeszczała w odpowiedzi starydurniutoniebyłanaszawcieraczkaiodniosłamjną amiejście, chłopiec spojrział wreszcie w bok, bo obcy język przerażał i przyciągał jednocześnie. Może to ostatnie słowa ojca przykuły uwagę chłopca?

– Dam ci lekcję – to usłyszał Marianek i zdumiało go to nie mniej, niż spokojny głos taty.

Zdążył pomyśleć, że przecież ojciec jest mechanik, a nie nauczyciel i żadnych lekcji dawać nie może. Potem spojrzął. W najgorszym momencie. Ciupaga wisiała chwilę pod sufitem, by opaść z cichym uderzeniem i głośnym wrzaskiem mamusi. To wtedy łyzy znalazły drogę i spróbowały znów zrobić z Marianka babę. Dwie łyzy i dwa uderzenia. Drugie w ścianę, jakby wściekły byk w ostatnim momencie zmienił zdanie. Tyle dobrego, że po znieawidzonej ciupadze zostały tylko małe kawałki.

Wrzaski nie ustawały, ale kolejne łyzy już nie popłynęły. Marianek siedział wciąż przy stole mącąc w rączkach szydełkowy obrus i czuł, że budzi się w nim coś nowego. Nieznany mu dotąd Marian, który jest większy i nie boi się niczego. Nie chce być sam i za nic ma udawanie, że pustka może być czymś dobrym. Marian wstaje gwałtownie od stołu i wybiega na korytarz. Wrzeszczy na rodziców tak, że zdumieni przerywają kłótnię i patrzą wystraszeni. Marian nie przestaje krzyczeć, a w tym krzyku jest ból, prośba, rozkaz i poświęcenie. Niech wrzeszczą na niego, niech całe zło spadnie na Mariana, ale niech przestaną się ze sobą kłócić, bo Marianek dłużej już tego nie wytrzyma.

Siedzi i wciąż słucha kłótni rodziców. Czuje, że Marian jest blisko i kiedyś na pewno się pojawi. Jest coraz bliżej, lecz to jeszcze nie teraz. Dziś Marianek zaciska tylko małe piąstki i niewidzącym wzrokiem patrzy w zmarszczone od łez kartki.

Samotnie.

Wołomin, 8 – 9 kwietnia 2025 r.





**Maciej Różański**

# Nie deptać jaskółek

W powietrzu codzienność, szara beztroska rzeczywistość unosi się nad asfaltem i mozaiką chodnika, a w dole miasto, ludzie, szum samochodów, zgrzyt tramwajów, jakaś zabłąkana syrena karetki i chyba policji z oddali, krzyki budowlanców, rozmowy przechodniów, kawałek parku – skwer zieleni i ptaki, dużo ptaków zamyślonych nad tym ludzkim galimatiasem. Wrony, wróble i jaskółki cierpliwie zapatrzone w wykluwającą się nieuchronność.

Nagle huk, trzask, pocisk z kości, w samym środku południa, na bezludnej części chodnika, film przerwany – urwana scena, cięcie i leci nowa, natychmiast, szpula rusza i kręci się dalej – gromadzą się gapie, ktoś krzyczy o karetkę na wynos, byle szybko – tam jechała – odpowiada inny, wskazując zmarnowany kierunek – ale na sygnale, pewnie zajęta.

Ludzi coraz więcej, pęcznieje kokon ciekawości, wije się i trzęsie, ale trzyma dystans, bo można się upaść krwią, roznieść cętki zdarzenia po świeżym chodniku, aż do samego domu, a płyty jeszcze jasne, czyste, nikt wcześniej się na nich nie roztrzaskał. Na czystym obrusie chodników nie ma dobrych miejsc na zgon.

– Nie żyje – wyrokuje przypadkowy mężczyzna, pewnym siebie, mocnym głosem i zaciąga się dymem z ręki, w niezrozumiałym pośpiechu, jakby przejęty sytuacją, ale nierozumiejący właściwie dlaczego.

– Taka chudzina – mruczy, krępy niski człowieczek stojący nieco z boku pierwszego, najpierw patrzy w górę, jakby spodziewając się ujrzeć przyczynę wszystkiego, następnie przesuwając spojrzenie po nie-naturalnie znieruchomiałym organizmie, który już nim nie jest, i bada go, zerkając, porównuje, dopasowuje fantazję uknutą w rozhułanej wyobraźni. Niby nie wypada, ale przecież nikomu tym nie szkodzi, nikt się przecież nie dowie.

– Mamo, ta pani jest goła – chłopiec, wyrwa się matce, ta zaraz grożąc palcem, wyciąga z kręgu i wlecze za sobą, między bloki, tłumacząc z przejęciem, że ostatni raz się puścił ręki, wymyśla na oczekaniu kary, groźby, które go mają na przyszłość do niej przykleić, na stałe.

Mężczyźni patrzą jakby z żalem. Kobiety ze złością. Tu i ówdzie błysnie smutek, ale częściej usychające w locie spojrzenia. Głodna obojętność powoli odzyskuje teren, jeszcze kryguje się przed płomieniem ciekawości, ale na krótko, wyrok już zapadł.

– Ćpunka jakaś... – Ktoś próbuje poprawić sobie humor i odchodzi.

– Ja ją znam – odzywa się mężczyzna z gazetą – mieszka pod siódemką.

– Mieszkała raczej... – poprawia ktoś z tłumu i również się odwraca do swoich problemów.

– To dziwka była – mówi ktoś inny – przyprowadzała facetów, co jakiś czas, nie często.

– Ryzykowny zawód – odzywa się kobieta stojąca najbliżej, potem wzdycha, odwraca się i również opuszcza kokon, spieszy się jej gdzieś, a tej i tak już pomóc nie można.

Wśród innych stoisz ty, w opuszczonej ręce paczka. Teraz wiem, że wyszedłeś tylko na chwilę, po papierosy. Skąd miałam wiedzieć wcześniej? Nie słyszałeś, że palenie zabija – nie czytasz etykiet?

Przypatrujesz mi się z intensywnym zdumieniem, po chwili z rezerwą, wiesz, że właściwie to ciebie nie dotyczy, a jednak czujesz się winny, bo zrozumiałeś i chłodne zimno usiadło na ramionach, wytrąciło z dłoni papierosa, ścisnęło w piersiach i nieznośnie zaciężyło klatce piersiowej. Chyba się tu nie przewrócisz? Nie położysz przy mnie, tu wobec tych wszystkich ludzi, gorącą głową na stygnących od krwi płytach, nie wkręcisz się wzrokiem w każdy mój słodki cal. Nie przy tych żadnych sensacji świadkach, przecież dbasz o prywatność, epizodom nie wolno wpływać na życia. A ja? No cóż, stygnę w samotności, niebawem nie będę już taka atrakcyjna. Nigdy zresztą nie byłam, ale teraz przynajmniej nie będzie mi na tym zależeć. Tobie już też nie, wystarczyło, że byłam, wcześniej.

Patrzysz uparcie w moją twarz, pogrążasz się w oczach, zasnutych mgłą wstrzymanego powietrza, ciemnych, nieruchomych, a w nich odbija się reszta, cała ta otoczka z garniturów, drogiego sprzętu nagłaśniającego, hostess gotowych na wszystko i szampana w długich kieliszkach z kryształu, wszystko dla zbudowania nastroju. Wystarczy, że zatrzymasz się przy stoisku, jednym czy drugim, będziesz przez chwilę udawał zainteresowanego, zaraz wcisną ci alkohol spod stołu. Za podpis na umowie przysługuje towarzystwo, możesz sobie je wybrać, żeby nie tkwić przy stoliku samotnie. Mimo to nie każdy podpisuje. Część snuje się po sali i kontempluje coś, ocenia, rozmyśla, udając niedostępnym, nieprzejednanym.

Z Markiem, tym od papierosów na baterie, współpracowałam od dawna. To popularny produkt, zawsze się gdzieś wciśnie stolik. Jeśli jesteś cichy i niezdecydowany, błąkasz się bez celu, oglądasz asortyment, ale nie podejmujesz dłuższych rozmów, to nadajesz się idealnie. Marek zagada cię cicho, zarzuci przynętę, ty podchwycisz temat, nawiąże się nic porozumienia i Marek zapisze mój numer z zapewnieniem, że się nie rozczarujesz.

Zadzwonisz wieczorem, właściwie to nawet trochę wcześniej, późnym popołudniem. Będziesz mieć gładki, niemal aksamitny, zakłopotany głos. Nie porozmawiamy o pieniądzach, tylko o mieście, spacerze i wspólnie spędzonym czasie.

Na spotkanie przyjdę bez spiny – trochę spóźniona i ubrana jak co dzień w dżinsy, ulubioną bluzkę i wygodne buty. Nie od razu mnie rozpoznasz. Ja natomiast już od początku będę wiedziała, że ten facet, który rozgląda się w źle skrywanej gorączce niepewności, to ty. Staniesz zażenowany, niepozorny, badając wszystkich przechodzących uważnym spojrzeniem. Nawet na mnie spojrzysz, ale nie rozpoznasz. Zobaczysz szwendającą się bez celu licealistkę. Nie mogłabym przecież być nią – za zwykła bym była, za szczęśliwa. Kogo będziesz szukać? Na kogo czekać? Przecież sam nie będziesz wiedzieć.

W końcu się ulituję nad tobą, podejść i wszystko stanie się proste. Nawet przyspieszony kurs poznawania, który odbędziemy w trybie błyskawicznym, egzamin zdamy wzorowo, bo wieczór przecież udać się musi.

Schwytam cię za rękę i pociągnę przez miasto, przez rynek, przez park. Coś tam opowiem, coś pokażę, pośmiejemy się i będzie łatwiej. Zrobi się późno, pójdziemy do mnie. Wejdziemy po schodach, snując się po ścianach ze śmiechu. Humor nas nie opuści, aż zrobisz się

odważny i silny, przeniesiesz mnie przez próg, jakbyśmy wzięli ślub. Rzucisz na łóżko, ja zerwę się z niego i czas się zatrzyma. Wkleimy się sobie pod powieki, trwając w milczeniu jak posągi, jeszcze w ostatnich chwilach trzeźwości. Czy zdążysz się zakochać? Ja będę na taką wyglądała, inaczej się nie da, bo nie potrafię, choćbym bardzo chciała. Umieję za to udawać, potrafię udawać znakomicie, zobaczysz, nawet się nie zorientujesz. Uwierzysz w każdą sekundę i przepadniesz na zawsze, ale tego przecież właśnie ci trzeba.

Wyciągnę z kredensu whisky i flakonik z zielonego szkła. Dodam kilka kropeł do swojego kieliszka, potrząsnę. Dzięki niemu następnego dnia nie będę niczego pamiętała i tak będzie lepiej.

Wypiję, odłożę kieliszek i głowę na poduszkę, cisza zabrzmi w uszach jednostajnym sykiem płomyków, które płochliwie zatańczą, ale dziś wieczór nie zgasną. Twoja obecność tutaj stanie się faktem, chwilę później będziesz należał do tego miejsca bardziej, niż ja sama. Popatrzę w twoje oczy z bardzo bliska, wydadzą się czarne, bez wyrazu i bez kształtu. Ciemność wyleje się z nich i pocieknie po schodach, wypełni park i rynek, utoną w niej kamienice, mosty, ja też utonę. Zerwę się do lotu jaskółki i będę krążyć nisko, tuż nad głowami. Pochylisz się nade mną, a ciemność z twoich oczu spłynie rześkim deszczem, chlupiąc w moim gardle, bo zapomnę w porę zamknąć ust, pozostanie mi krztusić się nią i zachwycać wytryskującymi drobinami miłostnego kaszlu.

A później w szklance po rosole nocy zaparzy się poranek, światło, ciepło i dookoła pasmo górskie albo ocean wzburzonych bałwanów, a wszystko z kołdry i poduszek. Pokój skąpany w strumieniach porannego słońca, przeciekającego przez stalowe, w pośpiechu zaciągnięte żaluzje. Pośrodku ja – sponiewierana, ciśnięta w miękką paszczę pościeli, przeżuta, strawiona i uspokojona tym, że wciąż niczego do ciebie nie czuję.

– Chodź tu... – zamruczysz.

Będziesz zbyt blisko, więc dopadnie mnie lęk pamięci, bez sił do protestu poddam się mu, choć powinnam cię odepchnąć. Ten język byś zrozumiał, ale nie ma szans na żaden ruch – jeszcze za wcześnie, jeszcze będę tonąc w oparach sennych, płynąc we mgle zapomnienia. Po omacku przypomnę sobie ciebie, wyławiając z niepamięci.

Dlaczego nie śpisz? Czy już jest jutro? Musimy już wstawać? Karuzela myśli zakręci mi się na scenie teatru wyobraźni. Nie zbiorę się w sobie, nie oderwę od poduszki. Przecież to światło... zapewne przyjdzie już czas na dzień. Poczuję, że mi wszystko jedno. Coś powie mi, że nie powinno mnie tutaj być. Z drugiej jednak strony, wszystko będzie bez sensu, bez celu. Wcale nie powinno mnie być, a jestem.

Przewrócisz mnie na wznak. Popatrzę w twoją twarz, ale jej nie zobaczę, nie rozpoznam nosa, ust i oczu, jedynie same kontury, jakby była jeszcze noc, a nie pełnia geometrycznego poranka.

A potem ostygnę, leżąc w ciszy. Na szafce, tuż przed twarzą, wyostrzy się kieliszek słabej substancji. Powoli wróci pamięć, rozmazana i niekompletna, jak wszystko wokół mnie. Zakręci mi się w głowie i upadnę, wcięż leżąc. Polecę w głąb siebie, minę ocienione krawędzie zbcocy, przelecę koło urwisk i przełęczczy dezorientacji. Krzyknę, że nie powinienes mnie zostawiać samej. Nie po tym, co wypiałam. Poczuję, że się zbliża, że nadchodzi wolno i niepostrzeżenie. Obiecałeś mnie nie zostawiać. Gdzie jesteś? Kim jesteś?

Pogłaszczę z wysiłkiem pościelowe rumowisko, nie wyczuję w nim jednak nic poza materiałem. Uspokoję się, gdy spostrzegę w przejściu wysoki cień. Będziesz tak stać i gapić się, na mnie, a ja będę leżeć z rozrzuconymi nogami, zajmując całe łóżko. Zawiśniesz niczym

mgła, niewyraźna plama w przejściu – i będziesz patrzeć nieruchomo, szydząc ze mnie milczeniem, aż się zdenerwuję.

Zapytam o to, dlaczego wciąż tak stoisz, tak długo i nawet nie drgniesz, i o to, czy czasami, przez przypadek się nie zakochałeś. Wczoraj to nawet powinieneś, bo miłość jest jak smar, dzięki któremu jest łatwiej, milej i przyjemniej. Działa natura. Czy umiesz zakochać się w trzy godziny? To jest sztuka. Trzeba ją opanować, trzeba ćwiczyć. Mnie to czasem wychodzi, ale rzadko. Wyćwiczyłam za to odkochiwanie się i to całkiem dobrze, tak mi się przynajmniej wydaje. Odkochiwanie się jest nawet ważniejsze, bo można zwariować od ciągłych przeciągów, zostawiając wszędzie za sobą niedomknięte drzwi.

Potem znów zobaczę, że stoisz i dojdę do wniosku, że chyba tego nie opanowałeś jednak, bo patrzysz na mnie, jakbyś chciał więcej, ale na ciebie już pora, nieprawdaż? Już czas najwyższy!

Będę wiedzieć, że zaraz wyjdiesz i zostawisz mnie samą. Odjedziesz do innego miasta, kraju, świata. Będę z tobą przez wiele lat, może, zanim zrobisz to drugi raz, a może nawet pomimo to, że zrobisz.

Będę pamiętać, że obiecałeś zostać do południa, a dopiero jest rano. Dlaczego wciąż stoisz? Chodź do mnie. Przechylę się na łóżku, wyciągnę rękę, wszystko zawiruje, zakołysz się, oczy wciąż pobłądzą we mgle z trunku i nie zobaczę cię – to tylko sukienka z dżerseju na inne wyjścia, będzie wisieć w przejściu, tam, gdzie ją wczoraj powiesiłam.

Będę pamiętać, że obiecałeś zostać do południa.

Wtedy spadnie na mnie ze zdwojoną siłą, sprawi, że poczuję chłód pod skórą i upał na niej. Przecież będę prosić, byś mnie nie zostawiał, zrobię to kilka razy i nic. Pokój ostygnie, łóżko zrobi się zimne, po tobie

nie będzie ani śladu, nawet zapach wywietrzeje. Tylko te kilka banknotów na szafce, obok kieliszka. Zadźwięczy mi w głowie ten dzień, zadźwięczy mi jesień za oknem, całym tym listopadem. Zrozumiem, że nie powinnam jeszcze wstawać, ale będę głodna, więc powlokę się do lodówki. Wyciągnę z niej blask żarówki na zewnątrz, na meble, na siebie. Stanę skąpana w złocie, cała naga w tym chłódzie i nie wiem, czego tu właściwie będę szukać. Przyjrzę się swoim złym stopom, linom szkarłatu rozciągającym się od stóp przez łydki i uda na całe ciało. Cała będę w kosmykach czerwieni. Trzeba było nie patrzeć – pomyślę – nie rozświetlać tej drogi lodówką. Wychłostana do żywego, będę cierpieć ukrop. Złe plecy zapłoną wstydem. Potrzeba mi będzie wiatru, w żagiel ulgi. Porzucę złoty chłód lodówki i odejdę tam, gdzie mi nie wolno.

Pchnę okno, a tam wiatr pogłaszcze plecy. Nie pobrudzę już krwią ścian – stanę silna, prosta, nie będę się opierać. W dole zobaczę ludzi, kolorowych, zadbanych i zdrowych, pełnych swych celów, jasnych i oczywistych. Pewnie tam gdzieś i ty będziesz szedł ze słodkim bagażem nowych wspomnień, z zapachem, którego nie zmył prysznic, ani szampon.

Nie powinienes mnie tak szybko zostawiać. Będę czuć się rozchwiana, lęk rozpuści się na słońcu możliwości i będę mogła spacerować po krawędzi jak ten kot, który łypie na mnie dziwnym nocnym spoj-rzeniem, a przecież już jest dzień. Rusza wąsami, jakby zapraszał.

– Chodź, połazimy po skraju – zamruczy.

– Nie mogę – odpowiem. – Jestem sama i nie powinnam się teraz ruszać z łóżka.

– A jednak tu stoisz – przekrzywi głowę.

- Bo mnie zostawił, choć nie powinien. Jeszcze na to za wcześnie.
- Spróbuję mu wytłumaczyć.

Odwróci się, machnie ogonem i zniknie za wyłomem.

- Idziesz czy nie?

- Idę przecież.

Położę ostrożnie stopy na stalowej krawędzi dachu. Wcale mnie to nie przerazi. Ludzie jak mrówki, nawet jaskółki niżej – będę musiała uważać, żeby żadnej nie nadepnąć.

Kot wyda się obruszony.

- Nie przejmowałbym się nimi.

- Muszę uważać, obiecałam nie krzywdzić ptaków.

- Komu?

- Nie wiem, chyba nikomu.

Już będzie prawie południe. Stopy mi zapłoną, a stalowa krawędź zimna, pełna jeszcze świeżości poranka. Każdy krok to chłód, ale skóra zapłonie jakby na złość. Pójdę na kocią odpowiedzialność. Ze mną złe nawyki, przegrane życie i brak przyszłości, czegokolwiek dobrego, co mogłoby się jeszcze zdarzyć. Mimo że kot kazał to zignorować, będę się starała nie nadepnąć żadnej jaskółki. Niby jeden fałszywy krok... i polecę jak ptak. Wcale mnie to nie zmartwi. Wręcz przeciwnie – skusi. Cóż może się stać więcej? Nikt nawet nie zauważy. Będzie mi ciebie brakować. Pewnie kazałbyś zejść – pomyślę – pewnie bym posłuchała.



**Michalina Staszek**

# **Śmierć, zegarek i kwiaty**

Burzył dłonią spokojną taflę wody. Sunął nią po powierzchni miarowym tempem. W prawo, w lewo i znowu w prawo. Falbany będące zakończeniem białej koszuli były już całkowicie przemoknięte. Tak samo z resztą jak dół eleganckich, ciemnofioletowych spodni. Chłopak siedzący na drewnianym pomoście wcale się tym jednak nie przejmował. Powolnym ruchem sięgnął do kamizelki w kolorze spodni i wyjął z niej złoty zegarek na cienkim łańcuszku. 40 sekund – pomyślał i ponownie spojrzął w taflę jeziora.

Mimo, że patrzył w wodę niczym w lustro nie widział w niej swojego odbicia. Spoglądał na młodą parę, której obraz majaczył w głębinach. Mężczyzna z widocznym stresem uciskał klatkę piersiową leżącej na piasku kobiety. Raz, drugi, trzeci. Trwało to już kilka minut, ale ona nadal pozostawała w całkowitym bezruchu. Jeszcze dziesięć uciśnień, pięć, jedno... kobieta otworzyła oczy. Niestety dla mężczyzny pozostały one zamknięte już na zawsze.

Obraz plaży rozmył się całkowicie. Chłopak siedzący na pomoście zanurzył rękę w wodzie czekając na wypływającą z głębin kobietę. Była coraz bliżej powierzchni, na tyle blisko, że mógł chwycić jej dłoń i pomóc jej dostać się na bezpieczne deski u jego boku. Brała głębokie wdechy próbując wyrównać rozszalały oddech. Chwilę zajęło jej dojście do siebie i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że jest całkowicie sucha, choć jeszcze parę sekund wcześniej topiła się w lodowatej wodzie. Jej umysł zarejestrował kolejną rzecz – nie była sama. Spojrzała na siedzącego obok chłopaka i znów chwilowo straciła oddech. Powiedzieć, że był piękny byłoby niedopowiedzeniem. Jego twarz miała niemal posągowe rysy. Na czarnych, lekko przydługich włosach leżał ukryty wśród burzy

loków wianek z uschniętych róż. Wszystko to było wręcz niezemskie, ale jej uwagę i tak najbardziej zwróciły oczy. Szare, pełne głębi, niby na twarzy młodego mężczyzny, a skrywające dusze istoty żyjącej od wielu lat. To one utwierdziły ją w przekonaniu, że nie ma do czynienia ze zwykłym człowiekiem.

Obejrzała się wokół, dokładniej badając krajobraz.

Wszystkie te miejsca zdawały się takie bezwartościowe, gdy nie tętniło w nich życie. Stawały się tylko kolorowymi ścianami, stolikami, krzesłami, których przeznaczenia nie dało się w pełni poznać, póki pośród nich nie pojawił się człowiek. Człowiek gotowy wnieść do nich swoje historie, uśmiechy lub troski wylane w towarzystwie kubka kawy. Mimo to, Ensam dostrzegał w tej pustce coś w sam raz dla niego.

– Znam to miejsce – stwierdziła, przywołując wspomnienia sprzed lat.

– Tak – odpowiedział chłopak spoglądając w tym samym kierunku.

– Co roku spędzałaś tu wakacje pływając pośród wodnych lilii. Rodzice dużo pracowali, prawda? Nic dziwnego, że przez większość życia wychowywali Cię dziadkowie.

– Czy ja... umarłam? – Zapytała nie do końca chcąc znać odpowiedź.

– To zależy wyłącznie od ciebie. Owszem, Twoje życie na Ziemi dobiegło końca, ale jeśli tylko zechcesz mogę zaprowadzić Cię do nowego, lepszego miejsca.

Odrzucił się by spojrzeć na jej twarz. Miał przeczucie, że kobieta nie skorzysta z jego propozycji. Wyjął zegarek z kieszeni patrząc na tykające wskazówki. 3 minuty.

– To tutaj, na tym pomoście go poznałam – mężczyznę, który przed chwilą próbował uratować mi życie.

– Wtedy w pewnym sensie też to zrobił.

– Tak, stał się moim towarzyszem na resztę życia. Niedawno się pobraliśmy, mieliśmy tak wiele planów. Jestem przecież młoda. Nie mogę tak po prostu go zostawić.

Wiedziała z kim rozmawia. Wystarczyło popatrzeć na jego bladą twarz. Miała przed sobą uosobienie śmierci. Powinna się bać, tak przynajmniej podpowiadał jej rozum, ale coś w jego obliczu łagodziło strach.

– Wiem, że to może zboleć, ale on ma przed sobą całe życie. Może zapomnieć, znaleźć nową miłość, nie możesz tego zmienić. – Ile już razy musiał przechodzić tę samą rozmowę?

– Nie – powiedziała kobieta z pewnością i lekką nutą szaleństwa – bez niego nigdzie się nie wybieram. Muszę tam wrócić. Zabierz mnie z powrotem!

– Nie jestem w stanie tego dla ciebie zrobić.

– Więc przyprowadź go do mnie – upierała się. – Jesteś Śmiercią, to chyba potrafisz!

– Chcesz, żebym pozbawił twój ukochanego życia? – Zdziwienie jakie go ogarnęło nie znało granic.

– Tego co nam teraz zostało nie można nazwać życiem. – Och, a on tak dobrze o tym wiedział.

– Nie mogę go do ciebie przyprowadzić. Mogę jedynie zabrać cię w inne miejsce lub zostawić tutaj czekającą w nieskończoność na tego, który może nigdy się nie zjawić.

– W takim razie poczekam – odpowiedziała kobieta i utkwiała wzrok w niedalekim horyzoncie.

– Pamiętaj, to może okazać się losem dużo gorszym od śmierci. – Zerknął na zegarek.

2 minuty. – Jeśli zmienisz zdanie, po prostu zawołaj. –\

Nie dostał żadnej odpowiedzi.

W jednej sekundzie znalazł się w środku białej sali porodowej, pełnej krzyków. Przelotnie ogarnął ją wzrokiem i przeanalizował sytuację, której świadkiem w nieco innych wydaniach był już zbyt wiele razy. Obszedł łóżko i podszedł do młodej dziewczyny stojącej przy szerokim oknie. Blond włosy miała związane w luźny kok. W Iniane, szeroko-

kie spodnie włożyła dość niezgrabnie biały T-shirt. Jej ciemnobrązowe oczy jak zawsze lśniły pełnią życia.

– Mam do Ciebie pytanie – zaczął chłopak nie siląc się na powitanie.

– Nie sądzisz, że to może chwilę poczekać? – zapytała lekko podirytowana, ale wiedział, że w głębi duszy tak jak on cieszy się z ich spotkania. Chociaż oboje wiedzieli, że one nigdy nie są szczęśliwe.

– Czy możesz ponownie dać życie komuś kto zmarł? – spytał niby od niechcienia, bo jego myśli zaprzętała spotkana przed chwilą kobieta. Tak dobrze rozumiał, dlaczego nie chciała dać sobie pomóc. Po jej minie domyślił się, że zdziwił ją tym pytaniem.

– Już kiedyś zadałeś mi to pytanie – odpowiedziała ze spokojem.  
– Moja odpowiedź nadal brzmi nie. Wiesz, że nie mogę zmienić losów świata.

– Naprawdę tego nie rozumiem. – Z napięciem wpatrywali się w rozgrywającą się przed nimi scenę. Kobieta krzyczała coraz głośniej.  
– To dziecko straci matkę, a Ty nie możesz nic z tym zrobić?

– Wiele przed nim doznało tego samego losu i jeszcze wiele pewnie go doczeka. – Znała chłopaka od zawsze. Czasem mógł wydawać się przerażający, raczej rzadko się uśmiechał, przynajmniej nie przy innych. Mimo to wiedziała jedno – może i był Śmiercią, ale nie był pozbawiony serca. – Zostaje nam tylko mieć nadzieję, że znajdzie nową rodzinę, a ta kobieta zgodzi się na podróż z Tobą.

Nie było sensu na dalsze kłótnie. Wiedział, że to nie od niego zależała decyzja, a jednak w chwilach jak te często tego żałował. Żałował też, że żadne z nich nie może nic zrobić, aby ulżyć innym w cierpieniu i samotności.

Dziewczyna powoli zaczęła się od niego odsuwać. 50 sekund. Zwinnie ominęła wszystkie znajdujące się w pomieszczeniu osoby i podeszła do małego dziecka znajdującego się w rękach jednej z najstarszych kobiet. Położyła dłoń na jego głowie i maleństwo wzięło swój pierwszy oddech. Nie mógł odwrócić wzroku od uśmiechu zdołającego

w tym momencie twarz dziewczyny. Nie pożegnała się, po prostu podążyła w kierunku drzwi za jedną z pielęgniarek trzymających noworodka.

Dopiero po jej wyjściu dotarł do niego dźwięk defibrylatora a po chwili długa cisza przerywana jednostajnym odgłosem maszyny informującej o zatrzymaniu serca. 0 sekund. Kobieta niedawno leżąca na łóżku stała teraz obok niego patrząc na swoje nieruchome ciało. Powoli odwróciła się w jego stronę. Przez ułamek sekundy widział w jej oczach ulgę, którą ledwie zdążył uchwycić, zalaną całkowicie przez falę bólu. Miał przed sobą obraz cierpienia namalowany przez dwie dusze pozbawione jasnych barw. Z uśmiechem wyjął dłoń w jej kierunku. Przyjęła ją bez słów.

Sześćdziesiąt lat później stał przed ciemnymi drzwiami wspominając tamten dzień. Świadomość celu tej wizyty o dziwo nie sprawiała mu przykrości. Mogło się to wydawać dziwne, ale od dawna czekał na ten moment. Poprawił kołnierzyk swojej czarnej koszuli i zerknął na złoty zegarek znajdujący się jak zwykle w kieszeni – tym razem również czarnej – kamizelki. Uśmiechnął się lekko i unosząc rękę delikatnie zapukał w twarde drzwi. Odczekał parę sekund i pchnął drewno pozwalając, żeby jego oczom ukazał się mały, przytulnie umeblowany pokój. Osoba do której przyszedł znajdowała się w jego dalszej części.

Stary mężczyzna po osiemdziesiątce siedział wygodnie w bujanym fotelu oglądając widok rozpościerający się za oknem. Chłopak zbliżył się do niego powoli i zajął miejsce u jego boku. Obaj przez chwile trwali w milczeniu patrząc na ławkę pełną kolorowych kwiatów i słońce chylące się ku zachodowi.

– Domyślam się, że umarłem – powiedział po kilku minutach mężczyzna przerywając ciszę. – Za życia nie miałem tak pięknego widoku. Jedyne co widziałem to ogromne wieżowce i latające wysoko nad nimi samoloty.

– Jak się Pan z tym czuje? – Miał dzisiaj jeszcze tylko jedno spotkanie, więc nie musiał martwić się o czas. To było dla niego rzadkością. Mógł poświęcić chwilę na rozmowę. Szczególnie z człowiekiem, na którego ktoś czekał już od tak dawna.

– Sam wybrałem to, jak będę żył. Wobec tego, chyba nie mam prawa narzekać. – Mężczyzna powoli wodził spojrzeniem po spokojnym krajobrazie. – Właściwie to można powiedzieć, że ktoś wybrał je za mnie. Obiecaliśmy sobie z pewną kobietą, kiedy byłem tak młody jak ty, że będziemy wspólnie żyć ciesząc się każdym danym nam momentem.

– I co się stało z tą kobietą? – zapytał, choć doskonale znał odpowiedź.

– Odeszła szybciej niż się spodziewaliśmy. – Jego wzrok spoczął na komodzie niedaleko fotela. Była na niej tylko jedna fotografia. Młoda dziewczyna siedziała na skraju jeziora ciesząc się jasnym słońcem.

– Myślałem, że był pan dość znaną osobą. – Chłopak podążył za jego spojrzeniem. – Czy nie powinno być tutaj więcej fotografii. Gdzie zdjęcia pana znajomych, rodziny?

– Słyszysz? – Mężczyzna przyłożył palec do ust uciszając go. – To właśnie dźwięk mojego życia – cisza. Miałem wszystko – pieniądze, wysoko postawionych znajomych, znane nazwisko. Mogłem włączyć radio, kupić głośnik, może nawet pójść na koncert? Śmieję się, jeśli chcesz, kiedy powiem ci, że próbowałem wszystkiego. Niestety nawet w najgłośniejszym tłumie zawsze przebijał się krzyk ciszy...

Powoli wstał z krzesła i zbliżył się do okna. Widok zmienił się całkowicie. Patrzyli na brzeg morza i wysokie fale targane silnym wiatrem.

– Nie ma więcej fotografii. Moje życie skończyło się z dniem, w którym ją straciłem.

Chłopak stanął u jego boku kładąc mu dłoń na ramieniu.

– W takim razie mogę dać panu nowe życie. Tak się składa, że ta kobieta od dawna na pana czeka. – Mężczyzna odwrócił gwałtownie głowę w jego kierunku i otworzył szeroko oczy z niedowierzania.

– To znaczy, że będę mógł się z nią spotkać?

– Możemy znaleźć się przy niej nawet w tej chwili. – Zmarszczki na twarzy starca z wolna się zmniejszyły. Wyglądał jakby całe życie czekał na tę wiadomość. Mimo to, jego następne słowa zaskoczyły czarnowłosego chłopaka.

– W takim razie mam jedną prośbę. Wolałbym się z nią zobaczyć jutro. Chcę spędzić jeden dzień nie przejmując się co przyniesie kolejny. – Odsunął się od okna i z powrotem zajął miejsce na fotelu. – Praktycznie całe życie byłem sam, czy to dziwne, że po śmierci potrzebuje chwili samotności?

– Nie, ani trochę. Czasami każdemu potrzebna jest odrobina czasu spędzonego sam na sam. – Chłopak zaczął się kierować w stronę drzwi. – Przekażę pańskiej towarzyszce, że jej czekanie dobiegło końca. – Wychodząc obejrzał się za siebie i dostrzegł łagodny uśmiech mężczyzny. Na ten widok jemu również wargi uniosły się ku górze.

Znów stał na drewnianym pomoście niewielkiego jeziora. Spojrzał na dziewczynę siedzącą na jego końcu i podążył w jej stronę. Wyglądała dokładnie tak jak w dniu, w którym ją tutaj zostawił. Maczała w wodzie bosc stopy i nuciła nieznaną mu melodię. Przysiadł się do niej chcąc zwrócić na siebie jej uwagę. Nie spodziewał się, że dziewczyna pozostanie niewzruszona.

– Mam dla ciebie wiadomość. – Nadal nic. – Mężczyzna, na którego czekasz od tak dawna zjawi się tutaj już jutro i razem będziecie mogli opuścić to miejsce. – W końcu zareagowała. Powoli odwróciła się w jego stronę i podniosła na niego wzrok.

– Kto? – Był pewien, że się przesłyszał. Nie, właściwie to wiedział, że tak nie jest, ale mimo to powtórzył błagalnym tonem. Tak, jakby to miało cokolwiek zmienić.

– Twój ukochany, ten, przez którego tkwisz tutaj samotnie od ponad 60 lat. – Dziewczyna uśmiechnęła się lekko i dalej błędziła po nim niewiedzącym spojrzeniem.

– Nie znam go – powiedziała tylko i powróciła do nucenia swojej melodii.

Chłopak nie potrafił stwierdzić w którym momencie samotna łąza spływająca powoli po jego poliku zmieniła się w nieskończony strumień.

Kilka godzin później siedział na miękkim kocu popijając herbatę z porcelanowej filiżanki. Widok kwiatów spadających z rosnącej obok wiśni zawsze go uspokajał. Spojrzał na wielki zegar wyryty w skale wznoszącej się tuż przy pięknym drzewie. Szkło rozbitej tarczy nieco zasłaniało jego wygląd, ale nadal można było dostrzec brak jakichkolwiek liczb czy znaków i dwie niedziałające, złote wskazówki.

Odwrócił wzrok, kiedy usłyszał dźwięk zbliżających się kroków. Piękna dziewczyna w białej sukni powiewającej na wietrze szła w jego kierunku lekkim krokiem. Jej długie blond włosy zdawały się błyszczeć mimo, że otaczał ich mur mgieł. Ominęła wyrzeźbione przez niego figury. Im bliżej była tym nowsze z nich mogła oglądać. Żołnierz, który nigdy nie spotkał swojej córki. Córka nieznająca rodziców. Chłopak, którego nikt nie zatrzymał na krawędzi. I kobieta – czekająca na tego, który nigdy się nie zjawił. Dziewczyna mijała je wszystkie, a pokrywający je bluszcz pod wpływem jej obecności zaczynały obrastać najpiękniejsze kwiaty. Minęła wąski strumień oddzielający figury od wyspy z wiśnią i przysiadła się do małego stolika po środku koca.

– Długi dzień? – Wzięła do ręki wolną filiżankę i upiła łyk. Podniosła głowę i napotkała wzrok chłopaka. Zapadnięte oczy i rozpięte guziki koszuli wskazywały jej jasno, że coś jest nie tak.

– Inaczej sobie go wyobrażałem. – Objął wzrokiem jej twarz chcąc zobaczyć czy coś zmieniło się od ich ostatniego spotkania. Patrzył jak dziewczyna powoli zrywa rosnące wokół kwiaty i jeden po drugim

zaczyna splatać je w dłoniach. – Jesteś Życiem, a ja jestem Śmiercią. Mamy tak wielką moc w naszych rękach. Dlaczego czuję się tak bezsilny wobec tego wszystkiego?

– Daję życie, a ty zadajesz śmierć. Kto miałby siłę dzierząc tak wielki dar?

– Razem byłoby nam łatwiej.

– Jesteśmy przecież razem. – Spojrzała na niego przelotnie wciąż zaplatając kwiaty.

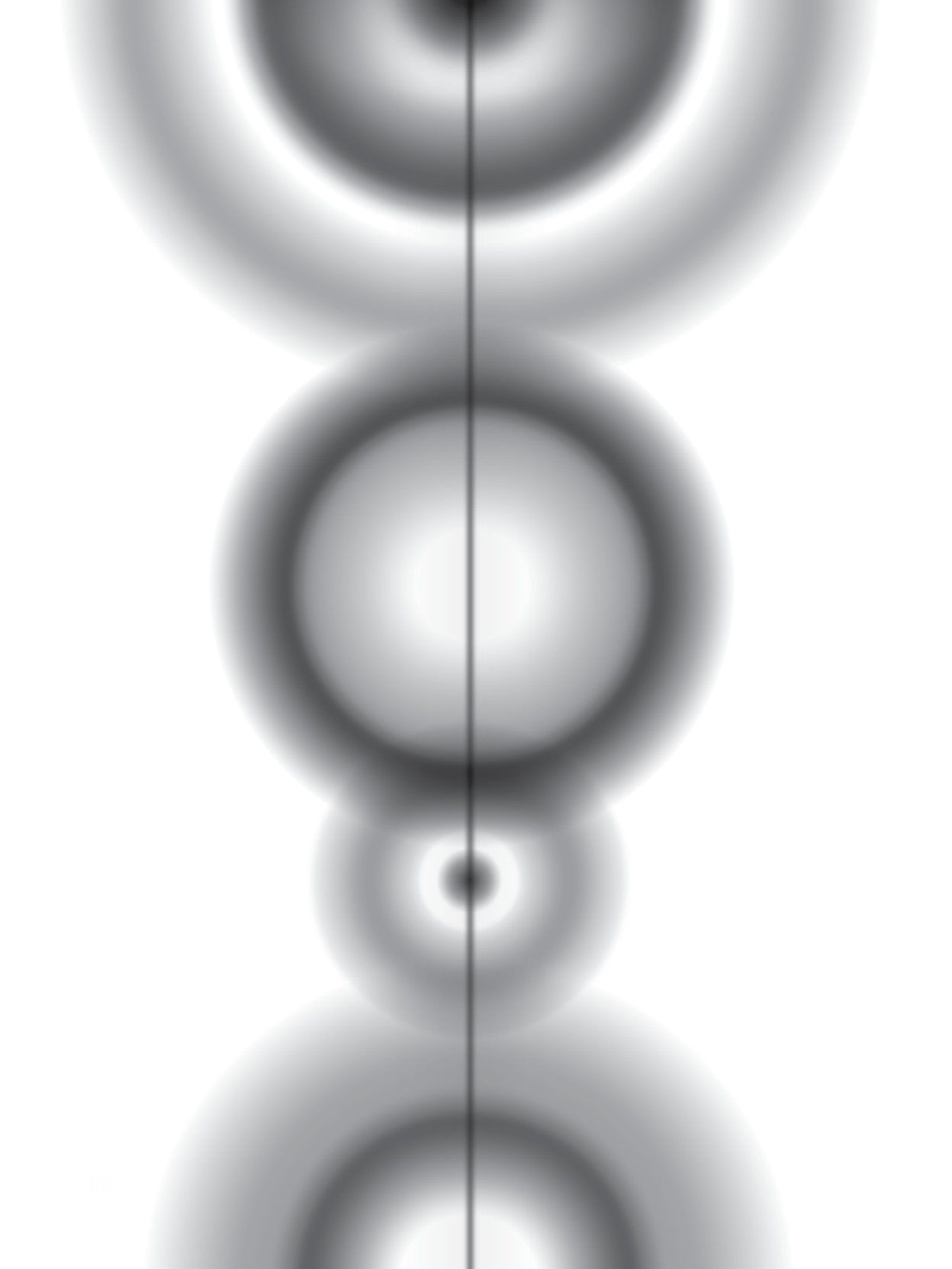
– Siedzisz naprzeciw mnie, a ja naprzeciw ciebie. Jesteśmy w tym samym miejscu, ale nigdy nie będziemy razem. Jesteś tu ze mną, a ja i tak czuję jakbym był tu sam, bo wiem, że za chwilę i tak odejdziesz.

– Co mogę ci powiedzieć? Od początku istnienia świata Ty i Ja jesteśmy związani samotnością. – Nastąpiła między nimi chwila ciszy przerywana szumem wiatru i dźwiękiem strumyka.

– Boję się, że kiedyś staniesz się jedną z moich figur. – Na moment odwrócił wzrok spoglądając na otaczające ich rzeźby i znów powrócił do jej twarzy. Dziewczyna podarowała mu najpiękniejszy uśmiech jaki kiedykolwiek widział. Odwzajemnił się tym samym. Każde z nich dostrzegło w swoich oczach ból i tęsknotę.

– Cóż, mogę cię tylko prosić, żebym była tą najpiękniejszą.

Zaczęła się podnosić a on poszedł w jej ślady. Zbliżyła się i stając na palcach umieściła na jego głowie wianek zrobiony z wcześniej zerwanych kwiatów. Z sekundy na sekundę ich kolor zmieniał się, brązował, aż stały się całkowicie suche. Dziewczyna popatrzyła na niego z miłością, obróciła się i odeszła. Śledził jej każdy krok aż rozplynęła się we mgle. Stał w ciszy przez kilka chwil aż w końcu dotarł do niego niewyraźny dźwięk. Tykające wskazówki wyrwały go z zamyślenia. Odwrócił się w stronę działającego, umieszczonego w skale zegara i po raz kolejny uderzył przepętlony gniewem w sam środek tarczy.



**Gabriela Wrona**

## **Niebo mieści się w plecaku**

Siedziałam na skraju swojego prawie-łóżka, czekając aż pani Iza skończy rozmawiać z kolejnymi ludźmi, którzy mieli się mną zaopiekować. Byliśmy w moim różowym prawie-pokoju, a ja bardzo nie chciałam go znów opuszczać... Szara walizka, w której były moje rzeczy, stała przy nodze wysokiego pana, a plecak, który też chciał zabrać, ale mu na to nie pozwoliłam, trzymałam na kolanach. Dlaczego to wszystko wokół było „prawie” moje? Nigdy nie wiedziałam, czy wrócę do dużego domu. Tak samo jak nigdy nie wiedziałam czy go znów opuszczę. W dużym domu była Pani Iza i inne dzieci. Nie rozmawiałam z nimi za wiele. Kilka razy, gdy kogoś polubiłam, zabierali go nowi prawie-rodzice. I już nie wracali. Chociaż wolałam swój prawdziwy dom, ten też był w porządku.

– Moniu, wszystko będzie dobrze, obiecuję – powiedziała pani Iza, która przykucnęła naprzeciwko mnie.

Ładnie pachniała, chyba kwiatami. Była wysoka i miała jasne włosy, które śmiesznie podwijały się przy brodzie. Nawet ją lubiłam. Starła się robić dobre kakao.

Nic nie odpowiedziałam. Pozwoliłam pomóc sobie zeskoczyć z łóżka, trzymając się za rękę. Aż do samochodu ściszałam dłoń pani Izy z nadzieją, że może mnie uratuje, ale na marne. Może ona też mnie nie chciała?

Nowy pan zapiął mnie pasem do fotelika i po chwili samochód ruszył. Droga była długa i nudna. Nikt nic nie mówił. Tatuś zawsze puszczał piosenki i odwracał się do tyłu, aby śpiewać mi i Stasiowi. Mama opowiadała bajki i pozwalała wybierać co zrobią postacie. To było śmieszne, a podróż mijała szybko. Nowi prawie-rodzice

siedzieli cicho. Od czasu do czasu patrzyli na siebie, ale nie na mnie, więc ja też na nich nie patrzyłam. Po cichutku odsunęłam suwak plecaka i znalazłam małą karteczkę, którą w myślach przeczytałam: „Kochamy Cię, Gwiazdko. Pamiętaj, że świecisz najjaśniej. Mama i Tata”. Uśmiechnęłam się delikatnie, przypominając sobie moment, w którym znalazłam papierek. Rodzice wsadzili mi go do pudełka śniadaniowego, tuż obok plasterków jabłka wyciętego w kwiatki. Tamten dzień był ostatnim, w którym ich widziałam.

– Co tam masz, Moniko? – zapytała nowa prawie-mama.

Uśmiechała się szeroko, ale było to trochę straszne. Miała czarne włosy spięte w kok i duże okulary na nosie, które zasłaniały jej pół twarzy. Jej głos był donośny. Wiedziałam, że na pewno nie przeczyta mi nigdy bajki na dobranoc. Miałam dość koszmarów.

Widząc, że patrzy na mój plecak, szybko schowałam karteczkę z powrotem do środka i zasunęłam suwak. Ścisnęłam go mocno, na wypadek, gdyby chciała mi go zabrać.

Po bardzo długim czasie samochód w końcu się zatrzymał i wszyscy z niego wysiedliśmy. Ich dom był malutki i drewniany, a w środku śmierdziało jak u mojej prababci, do której jeździliśmy latem. Pani chciała dać mi rękę, ale odmówiłam. Wolałam trzymać swój fioletowy plecak. Nowi opiekunowie otworzyli drzwi do niewielkiego pomieszczenia, w którym było pełno zabawek. Był całkiem ładny, ale nie przywiązywałam się. Miałam nadzieję, że prędzej czy później wrócę do pani Izy i dużego domu. Zresztą zawsze wracałam.

Usiadłam na łóżku i na poduszce położyłam swój plecak. Nowi prawie-rodzice stanęli przede mną i złapali się za ręce. Ta pani ciągle się tak strasznie uśmiechała.

– Moniko, jesteśmy Jola i Franek. – Pani Iza mi mówiła, ale zapomniałam.

– Cieszymy się, że będziemy się tobą opiekować. Jeśli będzie ci łatwiej, możesz do nas mówić mama i tata – powiedział pan Franek.

– Miałam już mamę i tatę – odpowiedziałam.

Chciało mi się płakać, ale wiedziałam, że nie mogę. Gdy za pierwszym razem się rozplakałam, nowa prawie-mama nakrzyzczała na mnie, że wybrała sobie mazgaja. A później wróciłam do dużego domu.

– W takim razie możesz mówić do nas po imieniu – wtrąciła pani Jola.

Miałam wrażenie, że ci państwo bali się mnie prawie tak samo bardzo jak ja ich. Oni byli we dwoje, ja byłam sama. Nie wiedziałam czy, a jeśli już, to na ile tutaj zostanę i czy mnie polubią lub ja polubię ich. Nie wiedziałam czy będą pytać o moich prawdziwych rodziców i brata, czego bardzo nie lubiłam. Nie wiedziałam czy w tym domu też będę miała koszmary i czy nowa pani posiedzi ze mną w nocy przy zapalanej lampce, jak zawsze robiła pani Iza. Nie wiedziałam czy będą smakowały mi nowe naleśniki ani czy będą pamiętali o moich urodzinach. Nie wiedziałam czy nowy pan poskacze ze mną na skakance i ponosi na barana, kiedy będę chciała. Nie wiedziałam nic, prócz jednego – chciałam do domu. Prawdziwego domu.

– Jesteś może głodna? Zrobimy coś razem? – zapytała pani Jola.

Pokręciłam głową na boki.

– To może napijemy się czegoś?

Zgodziłam się. Sięgnęłam po plecak i odsunęłam w nim mniejszą kieszonkę, z której wyjęłam niewielką kartkę. Wyciągnęłam ją przed siebie. W pierwszej chwili pan Franek chciał mi ją zabrać, ale wtedy się cofnęłam. Nie dawałam mu jej. Chciałam, żeby tylko przeczytał.

– Przepis na kakao – przeczytał nowy pan. – Chcesz razem je zrobić?

Pokiwałam głową i zeskoczyłam z łóżka. Zanim wyszliśmy z pokoju, zasunęłam kieszonkę i chwyciłam plecak do ręki. Karteczkę trzymałam w dłoni, ponieważ musiałam nadzorować pana Franka czy dobrze dodawał składniki.

– Gotowe – powiedział, stawiając przede mną szklankę.

Spojrzałam na panią Jolę, która patrzyła na kakao jakby go nie lubiła. Napiła się, ale nadal nie wyglądała na zadowoloną. Pan Franek również sobie nalał, ale widać było, że udawał zachwyt.

– Nawet smaczne – upiłam trochę. – Ale tatuś robił lepsze.

Nowi opiekunowie spojrzeli po sobie jakby trochę zirytowani.

– A powiesz nam, co takiego tatuś tam dodawał, że było takie dobre? – zapytała mnie pani Jola, unosząc wzrok znad swoich wielkich okularów.

--Trochę uśmiechu i miłości – odpowiedziałam, zabierając napój i plecak. – Wszystko jest w przepisie.

Wróciłam do pokoju, w którym byłam wcześniej. Był to krótki dzień, ale bardzo męczący. Bolała mnie głowa i chciałam do pani Izy. W nowych domach zawsze ogarniał mnie głęboki smutek. Dlaczego wszyscy tak bardzo chcieli zostać moimi nowymi rodzicami? Nie mogli oddać mi moich prawdziwych? Nie dało się ich zamienić ani stać się „lepszymi”. A wszyscy tak się starali i próbowali jakby wystarczyło zając mnie zabawą, dać słodycze czy zabrać do parku, abym zapomniała. Ale ja nie chciałam wcale zapominać...

Bo jak mogłabym zrobić to swojej mamusi, która zawsze tuliła mnie do snu i dbała, aby śniły mi się tylko dobre rzeczy? Czasem, gdy budziłam się w nocy, dawała mi misia, który pachniał jej perfumami, a ja wtedy znów zasypiałam. Od czasu, kiedy widziałam mamę po raz ostatni, przytulanka pachniała głównie szpitalem i nawet gdy bardzo się starałam, nie mogłam jej poczuć. Mimo wszystko, przytulając tego misia zasypiałam szybciej, bo chociaż nie pachniał już mamusią, to nadal mi się z nią kojarzył. Taty też nikt nigdy nie mógłby zastąpić. To on udawał najlepiej postać z mojej ulubionej bajki. Naśladował szefa kuchni, a mnie sadzał sobie na ramionach, ponieważ byłam szcurkiem, który sterował kucharzem. Gotując wspólnie, wychodziły nam najpyszniejsze dania. Nigdy nie odmówił spędzenia razem wspólnego czasu, nigdy nie odmówił zabawy, był zawsze, kiedy go potrzebowałam. Natomiast ja wiedziałam, że odmówiłabym każdemu

nowemu panu, który chciałby zająć jego miejsce. Został jeszcze Stasiu. Tego to już na pewno nikt nie mógłby podmienić. Nikt na świecie nie wkurzał mnie tak jak on, ale również nikt tak bardzo mnie nie kochał. Raz nawet uderzył Janka z przedszkola, który zabrał mi zabawkę. Od rodziców dostał ochrzan, a ode mnie buziaka. To była wtedy moja ulubiona zabawka. Staś nie bawił się ze mną lalkami tak często jak mama, ale kiedy już to robił, to bardzo się starał, aby uśmiech nie schodził mi z twarzy. Bardzo za nimi tęskniłam i zastanawiałam się, czy oni za mną też choć troszkę.

Zaczęłam rozglądać się po pokoju. Był jasny, nie miał za wiele obrazków na ścianach, za to na podłodze leżało dużo zabawek. Wyglądało jakby część z nich była zupełnie nowa. W rogu pokoju znajdował się ogromny domek dla lalek. Nawet sama mogłabym się w nim schować, taki był duży. Lalek było wiele, a jedna była piękniejsza od drugiej. Spoglądałam na te wszystkie piękne zabawki siedząc na łóżku ze spuszczoneymi nogami. Ale nie umiałam się cieszyć, bliżej było mi do płaczu. Zastanawiałam się, czy gdybym była w swoim prawdziwym domu i widziała je wszystkie, moja reakcja byłaby inna. Chociaż tak naprawdę wcale nie musiałam się zastanawiać – do szczęścia brakowało mi mojej rodziny. Bez nich nie miało znaczenia w jak wielkim i pięknym pokoju byłoby dane mi mieszkać, ani ile byłoby tam zabawek. Bo nawet jeśli miałam to wszystko, to nie miał kto się ze mną bawić. A jeśli ktoś już się ze mną bawił, to nie robił tego z miłości...

Nadeszła pora spania. Pani Jola poprosiła, abym się wykąpała, co posłusznie zrobiłam, aby na mnie nie nakrzyczała. Następnie usłyszałam „dobranoc”, ale nie odpowiedziałam. To była moja kolejna pierwsza noc w nowym prawie-domu. Zanim położyłam głowę na poduszce, ubranej w poszewkę z motylkami, sięgnęłam po swój plecak i wyjęłam z niego misia. Króliczek nie był nowy, wręcz ledwo się trzymał, ale miał swój urok. Mamusia powiedziała, że dostała go, gdy miała osiem lat i podarowała mi go w moje ostatnie urodziny, kiedy miałam tyle samo. Przytulałam go bardzo długo zanim zasnęłam...

Coś szarpnęło samochodem, który zaraz potem zatrzymał się w miejscu. Byłam w foteliku, mocno przypięta pasami, a obok mnie siedział Stasiu, który nadal spał, opierając głowę o bok drzwi.

– Co się dzieje? – mama zapytała tatę, który wyszedł z samochodu.

– Jakaś awaria silnika, musimy zjechać na pobocze – odpowiedział.

Tatusz usiadł znów za kierownicą i kiedy zobaczył, że się obudziłam, natychmiast się uśmiechnął i chwycił mnie za stopę.

– Śpij słodko, brzdącu. Niedługo będziemy w domu.

Mama odwróciła się przodem do mnie i widząc, że mój miś leży na siedzeniu, schyliła się i położyła mi na kolanach, po czym pogłaskała mnie krótko po nodze.

– Teraz możesz spać spokojnie, Moniu.

Mama o coś mnie zapytała, ale nie usłyszałam. W przód samochodu coś uderzyło. Po chwili było tak gorąco, że nie mogłam wytrzymać. Widziałam ogień, którego było aż za dużo. Na przemian krzyczałam do tatusia i mamusi, ale nie reagowali, więc zaczęłam płakać. Kiedy zdarłam kolano i łała mi się krew, bardzo mnie to bolało. Patrzyłam na rodziców, którzy praktycznie cali byli umazani na czerwono, czy to oznaczało, że ich bolało jeszcze bardziej niż mnie? Na przemian wołałam mamę i tatę, ale żadne z nich nie odpowiadało. W ogóle się nie ruszali. Tatusz pochylony był w dziwnej pozycji, opierając głowę na kierownicy, a mamusia wykrzywiona była w kierunku szyby, która była pęknięta i zakrwawiona. Spojrzałam na brata. Stasiu wyglądał jakby nadal spał, chociaż jego ciało było w połowie zgniecione pod fotelem mamy. Płakałam jeszcze bardziej. Wołałam wszystkich, ale nikt nie odpowiadał. A nie mogłam się ruszyć. Czułam, jakby fioletowy plecaczek, który był na moich kolanach, nagle ważył sto kilo. A zawsze był przecież taki leciutki.

Nie wiem, ile czasu minęło. Może kilka minut, a może godzin. Chyba płakałam tak mocno, że aż zasnęłam. Przestraszył mnie ryk piły, która zaczęła ciąć samochód. Dach nagle się podniósł, a w zasadzie

uniosło go kilku panów. Rodzice i Stasiu nadal byli w tych samych pozycjach, a ja wciąż uparcie ich wołałam.

– Jak masz na imię, Słońce? – usłyszałam nagle.

Zobaczyłam pana w czarno-żółtym ubraniu i kasku, który do mnie mówił. Wyciągnął do mnie ręce i zaczął rozpinąć fotelik. Nie umiałam nic odpowiedzieć, bardzo się bałam.

– M... m... – bardzo ciężko oddychałam. – Monia.

Czułam ogromny ciężar. Nie miałam siły podnieść nawet jednej ręki.

– Moniu, posłuchaj mnie, dobrze? – Pan, który do mnie mówił miał bardzo spokojny głos. – Zaraz cię stąd wyjemy, już po wszystkim. Wszystko będzie dobrze, zaufaj mi.

Chyba nie mógł odpiąć fotelika. Zobaczyłam, że wziął ogromne nożyce i zaczął rozcinać pas. Po chwili wziął mnie na ręce, ale wszystko bolało mnie tak bardzo, że nie mogłam oddychać, a płakałam coraz bardziej. Krzyczałam, żeby obudził mamusię, ale mama nawet tego nie słyszała.

– Jestem strażakiem, Moniu. Wszyscy ci pomożemy – powiedział do mnie, podnosząc się ze mną z nad samochodu.

Plecak spadł z moich kolan przy podnoszeniu, ale pan schylił się, nadal mocno mnie trzymając i podniósł go. Zaczął powoli iść. Odwróciłam głowę w stronę rodziny, ale oni nadal się nie ruszali. Krzyczałam do nich. Wołałam Stasia. On miał twardy sen, ale na pewno obudziłby go mój krzyk. Nikt się nie ruszył ani nie odezwał. A ja musiałam na nich patrzeć, kiedy zabierali mnie w inną stronę.

Obudziłam się, czując, że moja buzia jest cała mokra. Znowu to samo... Zawsze śniło mi się to pierwszej nocy. Obok mnie nie było nikogo. Nowi prawie-rodzice musieli spać. Cieszyłam się, że ich nie obudziłam, chociaż chciałam, żeby ktoś teraz mnie przytulił. Musiałam poradzić sobie sama. Sięgnęłam po plecaczek i wyjęłam z niego małą latarkę Stasia oraz zdjęcie nas wszystkich, które ktoś zrobił nam w domu. Poświeciłam na fotografię i uśmiechnęłam się, widząc jak

przytulała mnie mama, u której siedziałam na kolanach. Ktoś idealnie uchwycił Stasia, który próbował wyrwać się tacie z objęć. Bardzo nie lubił robić sobie zdjęć. Patrzyłam na zdjęcie do momentu, w którym nie przestałam płakać, po czym wszystko schowałam, zanim nowi prawie-rodzice przyłapałiby mnie na świeceniu latarką po nocy. Przekreśliłam się na drugi bok i mocniej przytuliłam misia. To, co było najgorsze już mi się przyśniło. Teraz mogłam usnąć spokojnie.

Następnego dnia pani Jola i Franek prawie w ogóle się do mnie nie odzywali. Zjadłam śniadanie i wypitałam herbatę, bo chyba nie chcieli znów robić kakao. Nie zapytali mnie o to jak spałam, co było dobre, bo nie chciałam kłamać. W zasadzie o nic mnie nie pytali.

Po jakimś czasie po śniadaniu oznajmili, że znów czeka nas podróż samochodem. Kiedy pani Jola zapinała mnie w foteliku, zobaczyłam, że pan Franek niósł moją walizkę. Wiedziałam, co to oznacza, ale nie rozumiałam, dlaczego chcieli mnie oddać. Przecież nie obudziłam ich w nocy. Czy ja naprawdę byłam tak okropnym dzieckiem, że nie dało się mnie pokochać?

Całą podróż siedzieli cicho. Ja trzymałam mocno swój plecak, czekając aż wrócę do swojego prawie-pokoju. Skoro tak szybko chcieli się mnie pozbyć, mogli mnie w ogóle nie zabierać. Może przyszedłby czas, w którym mój prawie-pokój stałby się moim prawdziwym.

Na podjeździe czekała już pani Iza. Po wyjściu z samochodu przytuliłam się do niej. Bardzo chciało mi się płakać.

– Moniu, kochanie... - powiedziała, mocno mnie ściskając. – Idź proszę do swojego pokoju, zaraz do ciebie przyjdę.

Skinęłam głową i ruszyłam w stronę dużego domu, nawet nie odwracając się za siebie. Nowi, a w zasadzie już starzy prawie-rodzice nie zasługiwali, abym się z nimi pożegnała.

– Nie będziemy jej w stanie pomóc... to naprawę skomplikowana dziewczynka – usłyszałam za swoimi plecami, kiedy szłam w stronę wejścia.

– Państwo są w ogóle nieodpowiedzialni! – usłyszałam też panią Izę. – Czy wy myślicie, że od tak można wybrać sobie dziecko, a potem je z dnia na dzień oddać, kiedy ono już ma nadzieję na nowy, szczęśliwy dom?! To nie jest żadna rzecz ze sklepu, która podlega reklama...

Więcej nie chciałam podsłuchiwać. Przyspieszyłam i jak najszybciej dotarłam do swojego prawie-pokoju. Moje prawie-lóżko czekało na mnie pościelone. Wyjęłam szybko przytulankę z plecaka i ścisnęłam ją mocno, zalewając się łzami.

Po jakimś czasie przyszła do mnie pani Iza. Widziałam, że była zdenerwowana, ale do mnie mówiła spokojnie. Pozwoliła mi się wypłakać. Pamiętałam to, co mówiła za każdym razem, gdy mnie oddawali i nie pomyliłam się, gdy znów powiedziała to samo. Znów wszystko było jak za każdym razem.

Dni mijały powoli. Straciłam już nadzieję, że ktokolwiek będzie mnie chciał, więc praktycznie nie wychodziłam z pokoju. Codziennie czytałam przepis tatusia na kakao i oglądałam nasze zdjęcie. To dawało mi spokój. Pewnego dnia pani Iza oznajmiła mi, że znalazła mi nowy dom i gdy tylko to usłyszałam, rozplakałam się. Nie chciałam znów jechać i wracać następnego lub kilka dni później...

– Obiecuję, że to ostatni raz, Moniu – powiedziała siedząc obok mnie i przygotowując mnie do wyprowadzki.

Po tych słowach do mojego prawie-pokoju weszło małżeństwo. Znałam tego pana. To on wyniósł mnie z samochodu. Był strażakiem, który wtedy był taki spokojny i miły. Obok niego stała pani, która nie była tak straszna jak pani Jola. Uśmiechała się, a kiedy się przybliżyli, poczułam, że pachniała tymi samymi perfumami co mamusia.

– Hej, Moniu. Pamiętasz mnie? – zapytał pan strażak.

Pokiwałam głową. Nie wiedziałam, dlaczego, ale czułam się inaczej niż za każdym razem, gdy ktoś po mnie przychodził. Pierwszy raz czułam po prostu spokój.

Dowiedziałam się, że pan strażak ma na imię Artur, a jego żona Gabrysia. Byli bardzo mili, więc od samego początku dałam prowadzić

się za rękę, w drugiej trzymając plecaczek. Pożegnałam się z panią Izą przed tym, jak pan Artur zapiął mnie w foteliku. Zdziwiłam się, kiedy pani Gabrysia usiadła obok mnie, a nie na przodzie samochodu jak zawsze robiły to nowe prawie-mamy.

– Masz śliczny plecaczek. Chciałabyś pokazać mi, co tam masz? – zapytała miło, a ja się zgodziłam.

Pierwszy raz ktoś mnie o to zapytał. Pokazałam wszystko, a gdy przeczytałam przepis na kakao, pan Artur odparł, że jest mistrzem w jego robieniu. Droga minęła szybko. Nie mówiłam za wiele, ale czułam się dobrze. Nowi prawie-rodzice śmiali się i wygłupiali, tak jak moja prawdziwa mamusia z tatusiem. Nie pamiętałam tego miłego uczucia bardzo długo, a w końcu dobrze się poczułam.

Dni mijały, a ja z każdym dniem miałam mniej strachu, że znów mnie oddadzą. W końcu przestałam się tego bać. A to, co powiedział pan Artur było prawdą. Robił tak samo pyszne kakao jak mój tatuś...

**Patrycja Zdziebłowska-Calandria**

# Rocznica

Obudziła się jak zwykle wczesnie rano i leniwie rozciągnęła stare kości. Tego dnia ból w biodrze tępo pulsował, ale przecież bywało gorzej, nic nie zepsuje jej dziś nastroju. Pierwsze poranne promienie słońca zaglądały już nieśmiało do sypialni poprzez zwiewne kwieciste zasłony. Odruchowo spojrzała na poduszkę po prawej stronie. Jej mąż zawsze lubił pospać nieco dłużej. Uśmiechnęła się do siebie, miała ochotę zanurzyć dłoń w srebrzystej czuprynie i ucałować blade czoło. Nie chciałyby go jednak zbudzić. Wysunęła się zatem cichutko spod pierzyny i na paluszkach opuściła pokój.

Kuchnia była niewielka, ale pełna ciepła, panował w niej, jak to miała w nawyku mawiać, przyjemny rozgardiasz. Kiepsko gotowała, ale od czego miała męża? Śliska jej ciekła na samą myśl o pysznych omleciach, które jej przyrządzał na śniadania, ale oczywiście tylko w weekendy, przecież musiała się zdrowo odżywiać ze względu na stan zdrowia. Kawę natomiast parzyła świetną i to było jej zadanie. Wyciągnęła dwie filiżanki i ustawiła je na spodkach. Nastawiła wodę w czajniku, celowo nie nakładając gwizdka i przysiadła na krześle. Poprawiła poduszkę pod plecami, poranne bóle jeszcze ją nie opuściły. Czekając na wrzątek, błędziła wzrokiem za oknem i obmyślała plan na najbliższe godziny. Dziś była ich pięćdziesiąta piąta rocznica. Z pewnością musi umyć kieliszki na wino i talerzyki deserowe, te najładniejsze – niebieskie w kwiatki. À propos kwiatów, musi koniecznie kupić świeży bukiet, och i skończyły się serwetki!

Woda powinna być zaraz gotowa, wsypała sobie jedną łyżeczkę kawy i dwie większe dla męża. Zabawne, śpi dłużej, a to zawsze on jest niewyspany. Zachichotała do własnych myśli. Zalała oba kubki

i naszykowała dwie małe śmietanki. Żadna nie była dla niej. Wsypała jeszcze łyżeczkę cukru do filiżanki męża i dorzuciła sekretny składnik – szczyptę cynamonu. Oczywiście mąż doskonale wiedział, co takiego dodaje, ale udawał, że się nie domyśla i że tylko ona potrafi zrobić taką pyszną kawę.

Skierowała się do łazienki na poranną toaletę. Schludnie ułożyła fryzurę w ciasny kok i wpięła w niego dwie błyszczące granatowe spinki. Ładnie podkreślały jej kolor oczu, niegdyś głęboki, dziś nieco przygasły błękit. Wąskie usta przeciągnęła czerwoną szminką. Używała jej tylko na specjalne okazje.

Wyszła z łazienki i zajrzała do kuchni. Filiżanka męża zniknęła, tak samo, jak obie śmietanki, zatem musiał już sączyć kawę na balkonie. Nie będzie mu przeszkadzać, tylko zerknie. Siedział jak zwykle nieco przygarbiony z lekko przymkniętymi oczami. Słońce padało na jego twarz, a włosy lśniły czystym srebrem. Jej serce wypełniła miłość, no dobrze, tylko jeden całus na powitanie. Wzdrygnął się lekko, kiedy jej wargi musnęły jego czoło. Potem uśmiechnął się szeroko i spojrzał na nią tak, jak zawsze od ponad pół wieku, z miłością i czułością, jak na najcenniejszy skarb. Przy nim właśnie tak się zawsze czuła. Trwali tak chwilę zatopieni w swoich oczach, a potem każde wróciło do przerwanych czynności.

Zastanowiła się, co włożyć na dzisiejszy dzień, ale tylko chwilę, przecież doskonale wiedziała, w czym czuje się najlepiej i co najbardziej podoba się mężowi. Naszykowała zatem granatową garsonkę i powiesiła ją obok świeżo wypranej i wyprasowanej już wcześniej koszuli męża.

Po śniadaniu i kawie umyła filiżanki oraz talerzyki i kieliszki na wieczór, rozmyślała przy tym, co też dobrego dziś zjedzą. Przebrała się ze szlafroka w naszykowany wcześniej strój i poprawiła makijaż. Ostatnie spojrzenie w lustro: prezentowała się nienagannie w garsonce i niewysokich szpileczkach. Czegoś jednak brakowało. Oczywiście,

perły! Zawiesiła je na szyi i jeszcze raz zlustrowała się od góry do dołu. Idealnie, wszystko na swoim miejscu. Chwyciła torebkę i wyszła z domu.

Na mieście roiło się od przechodniów. Młodzi ludzie korzystali z pięknego dnia, żeby wybrać się na spacer z psem lub na przejażdżkę rowerami. Pary spacerowały, trzymając się za ręce, małżeństwa pchały wózki, śmiejąc się radośnie. Cudowna sobota. Uśmiechała się do mijających ludzi, a oni odwzajemniali się tym samym.

Zgodnie z planem kupiła kwiaty, serwetki i dobre wino na wieczór. Taką mieli tradycję od lat, on gotował kolację, a ona kupowała im wino. Po jedzeniu wymieniali się drobnymi prezentami, jak np. te perły, które miała dziś na sobie. W drodze powrotnej do domu przysiadła na ławeczce. Musiała chwilę odpocząć, bóle znów się odezwały. Mały chłopiec biegał koło niej, niezdarnie kopiąc piłkę.

– Skarbie uważaj, bo się przewrócisz! Kochanie, bo kopniesz w panią! – strofowała matka chłopca nieustannie.

Uśmiechnęła się do chłopca i jego mamy. Oni nigdy nie mieli dzieci, ale też im to nie przeszkadzało. Wiele podróżowali, realizowali wspólnie plany i marzenia. Spełniali się w pracy, rozwijali pasje. Na emeryturze mieli czas na długie spacery i odpoczynek. Tak, jak młodzi ludzie wokół, zawsze trzymali się za ręce. Od pierwszego dnia, kiedy poznali się w szkole, byli nierozłączni. Ich przyjaźń przerodziła się w miłość. Dzielili razem jedną ławkę w szkole, a następnie całe życie.

Straciła rachubę czasu, nagle zaczęło się robić późno. Podniosła się z niemałym trudem i ruszyła w kierunku domu. W mieszkaniu panował półmrok, paliła się tylko jedna lampa w salonie. Męża tam nie było, na pewno był w kuchni. Umyła ręce i zaczęła szykować stół. Ustawiła nakrycia, serwetki i włożyła kwiaty do wazonu. Następnie ustawiła je pośrodku stołu i zapaliła świece. Nalała wino do kieliszków i włączyła cichą muzykę. Czekała. Przymknęła oczy.

Kolacja pachniała znakomicie, aromat wypełniał całą przestrzeń, a potem dołączył do niej kolejny zapach, woda kolońska jej męża. Zaciągnęła się tym zapachem i aż zakręciło jej się w głowie.

W eleganckiej koszuli prezentował się wyjątkowo przystojnie. Założył nawet krawat. Tak, to był prezent od niej. Jego uśmiech nadal pozostawał zawadiacki, chociaż teraz otaczało go kilka zmarszczek. Oczy płonęły tym samym żarem co przed laty. Podszedł wolno i wyciągnął do niej dłoń. Podała swoją, a on złożył na niej delikatny pocałunek. –

– Jesteś całym moim światem – powiedział.

– A ty moim życiem – odpowiedziała zarumieniona.

A potem wolno krok po kroku zaczęli tańczyć. Cały czas miała zamknięte oczy i delectowała się zapachem jego perfum. Przybliżyła policzek do jego twarzy i rozkoszowała się jego dotykiem. Płynęli wolno w tańcu tak jak niegdyś w dniu ślubu. Tak jak wtedy, również dziś, nie liczyło się nic i nikt więcej. Byli tylko oni. Mogła tak trwać w jego ramionach przez całą noc, było to jej ukochane miejsce na ziemi.

Westchnęła głęboko i otworzyła oczy. Stała sama pośrodku salonu. Po policzku spłynęła jej jedna samotna łza. Zamrugła kilka razy, zanim usiadła przy stole. Spojrzała na puste krzesło przed sobą i cichutko powiedziała:

– Wszystkiego najlepszego kochanie.

Zdmuchnęła świece i chwyciła kwiaty z wazonu. Tego wieczoru zaniósła je na grób męża.



